

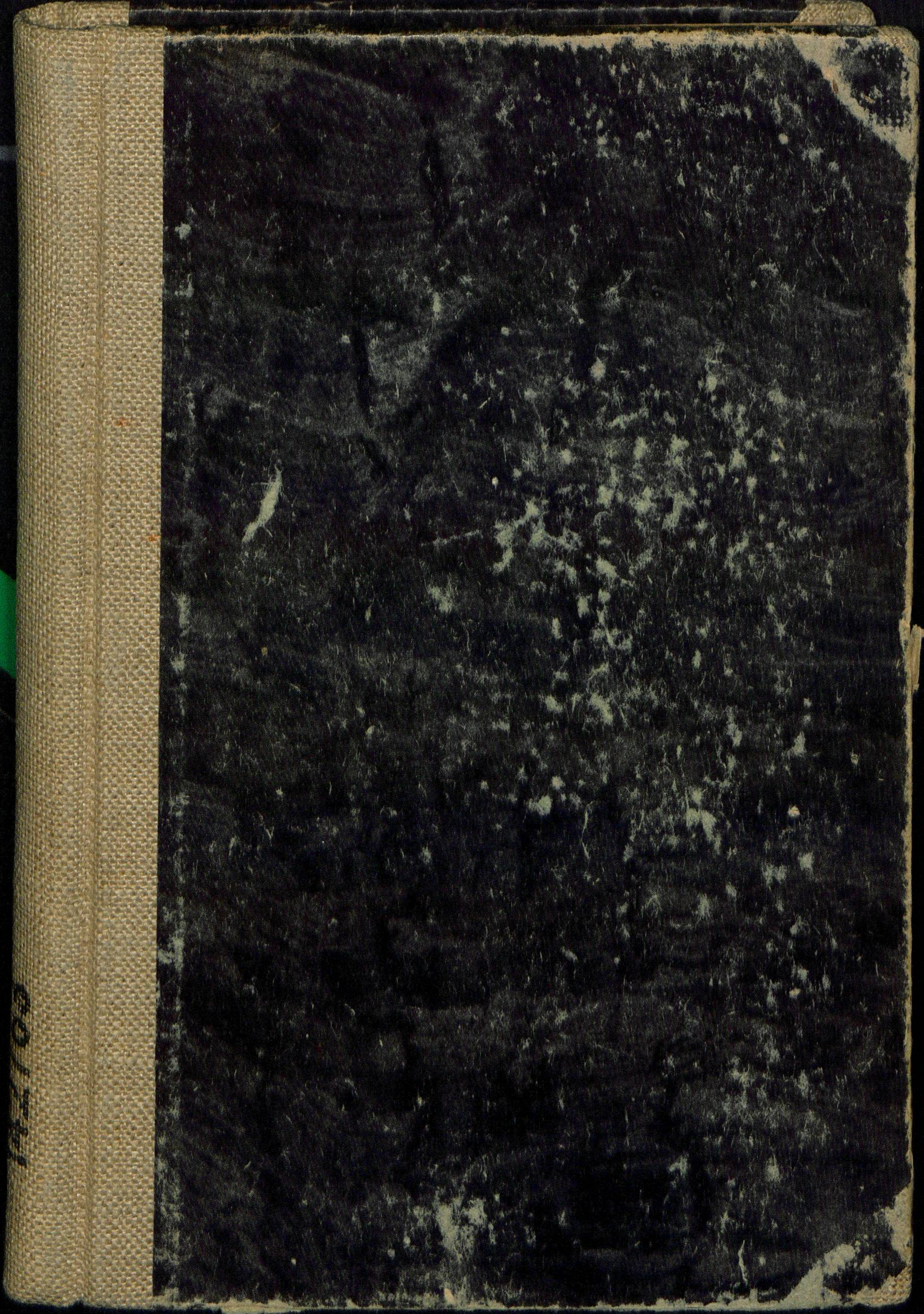
JULJAN TUWIM

A
T O
P A N
Z N A
?

Druk. „Rola” J. Buriana, Mazowiecka 11.

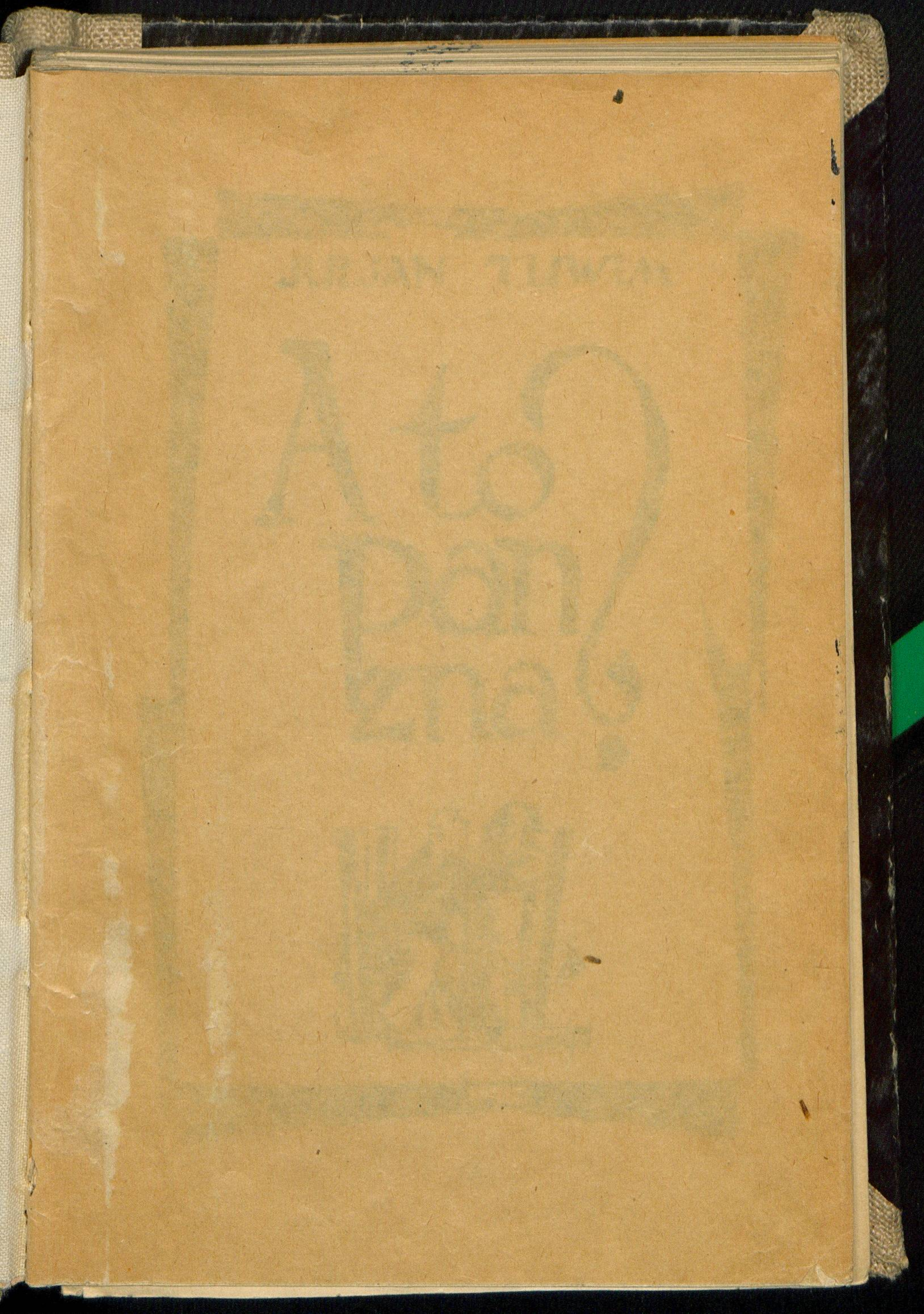
WARSZAWA

1925



1851

15



I 142.763

JULJAN TUWIM

A to
Pan
zna!



JULIAN TENNIN

A TO PAN ZNA?

TO

PAN

ZNA

?

JULIAN TENNIN

1874

A TO PAN ZNAI

JULIAN TUWIM

A

T O

P A N



I. 142.763

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001016540840

1952 D. 834 / 119

Rosenstern sprzedaje swą willę w Zoppotach. Skończyły się złote czasy, dochody zmalały, przykrości z kodeksem karnym było mnóstwo, gotówki nie widać, trzeba sprzedać swą letnią rezydencję.

Reflektant na kupno willi ogląda po kolei wszystkie pokoje:

— Ten pokój nie podoba mi się... Jakiś ciemny, ponury... Przypomina więzienie...

Rosenstern zapytuje po chwili namysłu:

— Więzienie? Jakże?

*

— Panno Maniu... kocham... szaleję... niech mi pani spojrzy w oczy...

— Ach, nie, panie Antoś!

— Panno Maniu!!

— Ach, panie Antoś, po trzecim dziecku trzeba być ostrożną!...

*

7

Rosenbaum ma serce miękkie, jak wosk. Czuły jest i sentymentalny. Nikt się tak nie potrafi przejąć cierpieniem bliźniego, jak Rosenbaum.

W tych dniach jechał tramwajem i zaczął rozmowę z konduktorem:

— Ciężkie czasy, co, panie?

— Straszne! Pensja ledwo wystarczy... Człowiek tkwi w długach... Cały dzień męczę się w tym tramwaju, sił już nie mam... a w domu chora żona i czworo drobnych dzieci...

Rosenbaumowi kraje się serce z litości i współczucia...

— Boże drogi! woła... Co pan mówi? Dajno pan jeszcze jeden bilet!

*

Pani Geldgeruch budzi się w nocy z krzykiem:

— Oj!

— Co się stało? woła przerażony małżonek.

— Już nic... Ale śniło mi się, że napadli nas bandyci... Szłam akurat z Apfelsteinem...

— Z jakim Apfelsteinem?...

— Nie możesz go znać... We śnie mi go przedstawili...

*

Do słynnej wróżki przychodzi jakiś pan.

— Nazywam się Mścisław Topór - Siekierski, chciałbym usłyszeć coś o swej przyszłości.

Wróżka rozkłada karty i mówi:

— Panie Mścisławie Topór-Siekierski! Widzę złe rzeczy. Żona powije panu syna, który właśnie nie będzie pańskim synem. Sprawy materialne wezmą obrót fatalny. Przyjaciele opuszczą pana. Umrze pan gwałtowną śmiercią.

Chwila milczenia. Wreszcie zabobonny klient wyciera kroplisty pot z czoła i mówi:

— Dzięki Bogu! Jak to dobrze jednak być ostrożnym! Ja się wcale nie nazywam Topór-Siekierski, tylko Kon!

*

Kąpiąc się w morzu, bankier Goldstein zaczął tonać.

Spostrzegł to hr. Rozporczyński, rzucił się do wody i uratował go.

Goldstein dziękuje mu ze łzami w oczach:

— Panie hrabio! Jeżeli pan kiedy będzie w niebezpieczeństwie, zrewanżuję się napewno.

Po kilku dniach hr. Rozporczyński otrzymuje zaproszenie na obiad do Goldsteina.

Szereg wspaniałych potraw. Przychodzi kolej na szampiony.

Hrabia podnosi łyżkę ze smakowitemi grzybami do ust, lecz w tej samej chwili bankier chwyta go za rękę:

— Nie jedz pan tego! Jesteśmy kwit!

— Dlaczego kwit!

— Zamiast szampionów, kazałem ugotować muchomory.

*

Stary Wojciech ma godziny policzone. Przy łożu umierającego zebrała się cała rodzina: żona, dzieci, i dalsi krewni. Przybył też rejent, spisujący testament.

Słabym głosem Wojciech dyktuje:

— Chałupę dostanie Marjan, ogród — Weronika.

Żona przerywa mu:

— Raczej chałupę oddałabym Weronice, a ogród Marjanowi.

— Nie, szepce konający, ma być tak, jak ja mówię. Dalej. Pieniądze dostanie Jan, a cały inwentarz żona.

Jan protestuje. Znów ta sama scena. Słowem, każde rozporządzenie Wojciecha wywołuje sprzeciwy i spory. Wreszcie, podczas ożywionej wymiany zdań pomiędzy żoną a najstarszym zięciem w sprawie dziedzictwa papierów wartościowych, zniecierpliwiony Wojciech siadł na łożku, trzasnął ręką w stół i ryknął:

— Co jest do jasnej cholery? Kto tu właściwie umiera?!

*

— Śliczne te bliźniaki! Urocze! A jakie do siebie podobne! Zwłaszcza jeden!

*

— Słuchaj Abramek, ojca! Ja ci dobrze radzę! To bardzo pięknie, że skończyłeś medycynę, ale zostań dentystą.

— Ja chcę być okulistą!

— Idjoto! Oczu ma człowiek tylko dwoje, a zębów — 32. Jaki zawód jest praktyczniejszy?

*

Dwaj wstawieni w sztok goście wracają o ósmej rano z balu. Po drodze przyłączyli się do jakiegoś konduktu pogrzebowego i towarzyszą mu nie wiedząc czemu. Wreszcie jeden odzywa się:

— Wiesz, Felciu, ale ten polonez dzisiaj trwa!

*

W przedziale drugiej klasy.

— Przepraszam, co pan ma w tej klatce?

— To jest ichneumon.

— POCO panu to zwierzę?

— A, to cała historja! Mam przyjaciela, którego męczą po nocach straszliwe sny. Śni mu się zawsze, że gryzą go żmije. Ichneumon, jak wiadomo, pożera te płazy. Wiozę go więc w tym celu, aby zjadł żmije, trapiące mego przyjaciela...

— Przepraszam pana... ale nie rozumiem... Przecież przyjaciel pański ma tylko sny o żmijach... nie są to przecież prawdziwe żmije...

— A czy pan myśli, że to jest prawdziwy ichneumon?

*

O trzeciej w nocy zabrakło wódki. Schodzę więc do knajpy naprzeciwko po nową baterję. W sieni na parterze leży jakiś pasażer. Także wstawiony. Ale więcej niż ja.

— Panie, co pan tu robi?

— Ja tu mieszkam.

— Gdzie?

— Na pierwszym piętrze.

— A klucz pan ma?

— W lewej kieszonce od kamizelki.

Wlokę pijaka na pierwsze piętro. Wyjmuję z kamizelki jego klucz, otwieram drzwi, oddaję mu kluczyk i wrzucam gościa w otwarte drzwi. Schodzę.

Na tem samym miejscu, w sieni na parterze, leży umorusany, zmiętoszony jegomość.

— Panie, co pan tu robi?

— Ja tu mieszkam.

— Gdzie?

— Na pierwszym piętrze.

— A klucz pan ma?

— W lewej kieszonce od kamizelki.

Jestem wprawdzie bardzo zawiany, ale postanawiam pomóc bliźniemu po raz drugi.

Taszczę go na pierwsze piętro. Kluczyk rzeczywiście jest w lewej kieszonce kamizelki. Otwieram drzwi i wpycham pijanicę. Schodzę.

Na tem samym miejscu, co przedtem, leży mój bliźni — ale w okropnym stanie: obdarty, odrapany, przerażony. Chwytam się za rękę: może śnię? Może to już u mnie delirium tremens?

— Panie! — wołam zdumiony — co pan tu robi?

— Ja tu mieszkam.

— Gdzie?

— Na pierwszym piętrze.

— A klucz pan ma?

Pijak spogląda na mnie ponuro, wreszcie mówi:

— Panie, niema tak dobrze! Trzeci raz mnie pan do windy nie rzuci.

*

Kon nazwał Fajgelesa złodziejem. Wynikła oczywiście sprawa honorowa; sąd polubowny ma ją załatwić.

Fajgeles żąda, aby Kon w obecności świadków cofnął to co powiedział:

— Co znaczy mam cofnąć? pyta Kon.

— Ma pan powiedzieć: „Fajgeles nie jest złodziej“.

— Dobrze, to mogę. I, zwracając się do sędziów, mówi tonem pytającym:

— Fajgeles nie jest złodziej?

Fajgeles jest oburzony:

— Panowie sędziowie! On mnie znów obraził! On nie cofnął, ale tylko zapytał się!

Na to Kon:

— Przepraszam panów, powiedziałem to, coście mi kazali! Czy panom chodzi o treść czy o melodię?

*

A. podchodzi do B. na ulicy:

— Panie B! Teraz jest dwunasta. Punktualnie o wpół do pierwszej przyjdzie pan do mnie i... (tu następuje propozycja, nie mająca nic wspólnego z pocałunkiem w czoło).

Co powiedziawszy, A. szybkim krokiem oddala się.

Oszołomiony B. stoi przez kilka sekund jak wryty, potem zaczyna gonić A.

Po drodze zatrzymuje go C:

— Dokąd tak pędzisz?

— Wyobraź sobie, że przed chwilą podszedł do mnie A. i powiedział, że punktualnie o wpół do pierwszej mam go pocałować w...

— Więc poco tak pędzisz, odpowiada spokojnie C., masz przecież pół godziny czasu.

*

Pociąg ma za kilka minut ruszyć. Pasażerowie siedzą już na swych miejscach.

Wtem na peronie rozlega się głos:

— Panie Pipman! Panie Pipman! Ktoś wysuwa głowę z okna wagonu i w tej samej chwili otrzymuje mocny policzek od wołającego.

Uderzony chwytą się za twarz i nagle wybuchają śmiechem:

— Ale go nabrałem! Ale mu kawał zrobiłem!

— Jakto? Pan jemu? Przecież on pana uderzył!

— Ale ja się wcale nie nazywam Pipman!!

*

— Czy mógłbym pana prosić o pożyczkę 20 złotych?

— Ależ ja pana wcale nie znam...

— Właśnie! Przecież kto mnie zna, ten mi nie pożyczki.

*

Chamfort opowiada, że córka króla, bawiąc się kiedyś ze swą pokojówką, zawołała ogromnie zdziwiona:

— Jaki? Ty masz także pięć palców, jak ja?

*

Po śmierci Ludwika XIV jeden z dworaków rzekł:
— Jeżeli król umarł, to już teraz wszystko na świecie jest możliwe!

*

Po przegranej bitwie pod Ramillies Ludwik XIV zawołał:

— Bóg zapomniał widocznie o wszystkim co dla Niego uczyniłem!

*

Szepel Zwiebelwurcel kupił na jarmarku szkapę i jedzie do domu. Po drodze spotkała go straszna burza: ulewny deszcz, błyskawice, pioruny... Rozpętany żywioł stał się tak groźny, że drżący ze strachu Zwiebelwurcel zaczął się modlić — a w modlitwie swej

przysiągł solennie, że jeżeli cało wyjdzie z tej opresji, to konia sprzeda i całą otrzymaną sumę ofiaruje biednym.

Po paru minutach burza przechodzi. Szepsel jest uradowany. Zajeżdża do miasteczka i przedewszystkiem kupuje kurczaka. Potem udaje się na rynek, aby sprzedać konia. Jeden z handlarzy zapytuje go, ile żąda za rumaka.

— Sprzedam go tylko razem z tym kurczakiem.

— A ile chcesz?

— Koń kosztuje dwa złote, a kurczak — trzysta.

*

— Rysiu, ile nóg ma koń?

— Cztery. Po jednej na każdym rogu.

*

Pipman prosi w cukierni o ciastko z jabłkiem, ale po chwili odsyła je z powrotem i prosi o kawałek strucli z makiem, którą zjada z apetytem, poczem wstaje i chce wyjść.

— Panie, woła kelner, pan nie zapłacił za struclę!

— Przecież za nią dałem panu ciastko z jabłkiem!

— Ale za ciastko z jabłkiem pan także nie zapłacił!

— A czy ja go jadłem?

*

Kawaler: Czy chciałabyś pani być łąbędziem?

Dziewica: E, panie Fredek! to żadna przyjemność
cały dzień brzuchem na zimnej wodzie!

*

I Karol był przystojny i Edward niczego. Lilka była więc z obydwojma w najintymniejszej przyjaźni. Jeden nie był o drugiego zazdrosny, wiedzieli o sobie nawzajem i dobrze było.

Pewnego razu Karol wyjechał na kilka miesięcy. W drodze dostaje depeszę od Edwarda:

— Lilka bliźnięta. Mój umarł.

*

— Wiesz? Pipmanowi uciekła żona!

— No i co on na to?

— Teraz już się trochę uspokoił. Ale z początku baliśmy się o niego. Myśleliśmy, że ten człowiek po prostu zwarjuje — z radości.

*

Kugelszwanc i Harmiderson wchodzą do gabinetu znanego bankiera N. i chcą prosić o wsparcie. Obaj są nieprawdopodobnie brudni.

Bankier spogląda na nich i woła oburzony:

— Nie będę z panami mówił ani słowa, dopóki nie zmienicie bielizny.

Kugelszwanc i Harmiderson wychodzą z gabinetu. Obydwaj są zdumieni.

— Ja nie rozumiem, Abram, co on będzie z tego miał, jeżeli ja włożę twoją koszulę, a ty moją?

*

Rzecz dzieje się przy bramie cmentarza powązkowskiego.

— Dokąd tak pędzisz?

— Niosę kwiaty na grób żony.

— Biedny! Żal mi cię.

— E! Mam drugą. Na Bródnie.

*

— Moryc, byłeś w Rzymie?

— Byłem.

— I widziałeś papieża?

— Naturalnie. Byłem z wizytą.

— No i jaki to człowiek?

— On — bardzo miły. Ale ona!...

*

Po bitwie. Grabarz grzebie trupy żołnierzy.

Oficer, przypatrujący się tej smutnej ceremonji, krzyczy nagle:

— Co robisz? Wrzuciłeś do dołu człowieka, który jeszcze coś szeptał!

— Panie kapitanie, odpowiada spokojnie grabarz, żeby słuchać co tam każdy z nich szepce toby tu wcale trupów nie było.

*

Jest rzeczą wiadomą, że nawet najokropniej jękający się ludzie potrafią często śpiewać bez zająknięcia.

Tę właściwość ma także 15 letni syn pana Cymperfeina, Hipek. Młodzieniec ten jąka się zazwyczaj w sposób przeraźliwy. Kiedyś, jak opowiada p. Cymperfein chciał poprosić o jabłko, lecz zanim po sylabie *jabł* powiedział *ko*, minął sezon na owoce.

Ale mniejsza z tem; w sprawach ważniejszych posiłkuje się śpiewem i jest dobrze.

Pewnego razu Hipek wpada przerażony do pokoju ojca i zaczyna bełkotać:

T-t-t..ta-ta-ta! S..s..s-tra...sz.sz...na.na.na rze...rze cz!

Zaniepokojony pan Cymperfein woła: Śpiewaj! Śpiewaj!

Więc Hipek śpiewa na wesołą melodję Titiny:

„W piwnicy wybuchł pożar
I mama się spaliła!...”

*

A propos jękania się. Wyżej wymienionemu panu Cymperfeinowi już dawno radzili znajomi, aby oddał Hipka do specjalnej szkoły dla jękańców. Ale p. C. nie dał się namówić.

— POCO? On się bardzo dobrze jąka!

*

Ale rekord jękania pobiła śliczna Zosia L. Tak przynajmniej opowiada zainteresowany p. N. F.

— Panie, ta dziewczyna się jąka! Coś klasycznego! Strasznie mi się podobała! Chciałem ją zdobyć za wszelką cenę. Opierała mi się. Ale zanim zdążyła powiedzieć: „Nie” — już była w czwartym miesiącu.

*

W Tworkach, w oddziale dla łagodnych furjatów, awantura. Przywieziony niedawno warjat Moryc Barometerszpic ciska się i miota w dzikim gniewie.

— To jest skandal! To jest szykana! Ja jestem żyd, dziś jest żydowski sajder, święto wielkanocne, ja muszę mieć rytualną kolację! Dlaczego mnie nie dają? Co to znaczy? Ja jestem wierzący żyd! Ja muszę jeść według przepisów religji! Ja jestem żyd! etc. etc.

Ano trudno, mówi doktor, trzeba uszanować tradycje religijne pacjenta i postarać się o świąteczną kolację żydowską. Posyła więc do restauracji koszernej po odpowiednie potrawy. Potem wraca do celi p. Moryca i ze zdumieniem konstatuje, że pacjent pożera z apetytem wielką połęć szynki.

— Panie Barometerszpic! Co to znaczy? Awanturował się pan o rytualne jedzenie, krzyczał pan, że pan jest wierzący żyd, a jak widzę, je pan świninę? Jakież z pana żyd?

— A warjat to ja już nie jestem? odpowiada p. Moryc z figlarnym uśmiechem.

*

— Och! wzdycha stary Lewensos. Widziałeś pech? Widziałeś zmartwienie?

— Co się stało? pyta zaciekawiony przyjaciel jego, Rabinowicz.

— Co się stało! Mówię ci: każde inne nieszczęście ludzkie przy mojem — to jest bachanalja.

— Powiedz nareszcie, o co chodzi?

— Jakto? Nie wiesz? Mojego syna zamknęli na rok w więzieniu.

— Za co?

— Za to, że się minął z powołaniem.

— Co to ich obchodzi?

— Z powołaniem do wojska!

*

— Jakto, woła oburzony sędzia, dla 30 groszy wymordował pan całą rodzinę?

— Panie sędzio, odpowiada zbrodniarz, tu 30 groszy, tam 30 groszy...

*

Personel firmy Kohn i Sp. domaga się u szefa podwyżki.

Pan Kohn jest oburzony.

— Przepraszam panów, dlaczego? Ja w swoim czasie miałem 30 rubli miesięcznie i dobrze mi z tem było.

— Ja też pana przepraszam, odzywa się młody buchalter Seidenwesch, ale wtedy jeszcze nie było kas kontrolujących!

*

Mały Mundek wraca ze szkoły i zapytuje ojca:

— Tate, co to jest raszka?

— Raszka? To jest taka zwarjowana ryba.

— Jakto ryba? Nauczyciel mówił, że raszka śpiewa wesoło i skacze z gałązki na gałązkę.

— Masz najlepszy dowód, jaka ona jest warjatka! Inna ryba to robi?

*

— A ja ci powiadam, że wolę mieć tyfus niż być milionerem.

— ?!!

— Ano tak. Miljonerzy umierają wszyscy, a z chorych na tyfus tylko 65 %

*

Pasażer, zajmujący górne miejsce w przedziale wagonu sypialnego, słyszy, że jego sąsiad z dołu wzdycha ciężko i jęczy od dłuższego czasu.

— Panie, co panu jest?

— Och! Oj! Oj-ej! Ach!

— To straszne! Niechże pan powie co się stało?

— Oj-oj! Och! O, Boże! Aj-aj!

— Mów pan, o co chodzi? Może będę mógł panu pomóc!

— Nie, nikt nie może mi pomóc! Trzecią noc jadę już fałszywym pociągiem!

*

Pan Zylberglanc trzymał w szafie banku znaczny depozyt w postaci walut zagranicznych i brylantów. Pewnego dnia, potrzebując gotówki, odbiera swój skarb. Na ulicy zwraca się do stojącego przed bankiem na warcie policjanta:

— Panie strażnik, jeżeli o mnie chodzi, to pan możesz już iść do domu!

*

Na pokładzie okrętu.

Amerikanin (do jednego z pasażerów): Może się pan założy, że pędząc z taką szybkością, jak teraz, dogonimy ten angielski krążownik?

Pasazer: Nie, ja się nie zakładam.

Amerikanin: A może się założymy, że przy takim pędzie nastąpi eksplozja?

Pasazer: Mówiłem panu, że nie zakładam się.

W tej samej chwili następuje eksplozja, a wyrzucny siłą wybuchu do góry amerikanin woła w powietrzu:

— Może się pan założy, że ja polecę wyżej?

*

„Aby mieć u naszej publiczności powodzenie, rzekł pewien poeta, trzeba albo umrzeć, albo być obcokrajowcem albo pisać perwersyjnie. Najlepszy zaś sposób — to być zagranicznym perwersyjnym nieboszczykiem“.

*

Klijent puka do drzwi zegarmistrza, wchodzi po kilku sekundach i mówi:

— Dzień dobry panu. Przychodzę z zegarkiem, popsuł się, stanął ni stąd ni zowąd. Możliwe, że trochę kurzu dostało się do środka. Jeżeli reperacja potrwa zbyt długo, możeby pan był łaskaw pożyczyć mi na ten czas jakiś inny zegarek, może nie być złoty, byle tylko dobrze chodził..

Zegarmistrz (zapatrzony przez cały czas tej przemowy w maszynerję jakiegoś drobnego werku, teraz dopiero odpowiada na pukanie klijenta):

— Proszę...

*

— Pan udzielił mi fałszywych informacji! Powiedział mi pan, że ojciec tej panny nie żyje już, tymczasem dowiaduję się, że od trzech lat siedzi on w więzieniu!

Swat: To jest życie?

*

— Moryc, nie chodźmy tędy, tam pies szczeka.
— Nie bój się. Czy ty nie wiesz, że pies, który szczeka, nie gryzie?
— Ja wiem. Ale nie wiem, czy pies wie.

*

W salonie artystycznym pana S. koncertuje młody pianista. Po brawurowym zakończeniu jakiejś sonaty uprzejmy gospodarz podchodzi do artysty:

— Mistrzu! Słyszałem Paderewskiego (artysta kłania się), słyszałem Rubinsteina (artysta kłania się jeszcze niżej), słyszałem Śliwińskiego (artysta rozpływa się w ukłonie), ale żaden z nich... nie spocił się tak jak pan!

*

Głęboko lecz napróżno wycięty dekolt pewnej chudej i brzydkiej damy nazwał bankier L. *niepokrytym deficytem*.

*

Pipman ożenił się i dostał 50 tysięcy złotych posagu: suma olbrzymia, jak twierdził teść Pipmana. Po roku młody małżonek nie ma grosza.

— Nie rozumiem! — woła teść. No dobrze: miałeś 20 tysięcy długów. Zostaje 30. Urządziłeś się, kupiłeś mieszkanie, wydałeś 10 tysięcy. Zostaje 20. Dziesięć wydałeś na utrzymanie, powinno ci więc zostać jeszcze dziesięć! Gdzie je podziałeś?

— Jakto? A interesów nie robiłem?

*

— Cyperman, jesteś taki zamiłowany podróżnik, dlaczego nie wybierzesz się kiedy do Ameryki?

— Nie jeżdżę okrętem. Na morzu jest się za bardzo w ręku Opatrzności.

*

— Czy środek przeczyszczający podziałał?

— Tak jest, panie doktorze, dwa razy.

— Jakto? Tylko dwa razy?

— Tak jest. Raz od ósmej rano do pierwszej po południu, i drugi raz od wpół do drugiej do wpół do dziesiątej wieczorem.

*

Pan Feinmesser pokazuje znajomym nowe mieszkanie:

— A oto mój jadalny pokój... Duży, prawda? Jak sala balowa! Tutaj mogłoby, broń Boże, osiemdziesiąt osób jeść!

*

Nauczyciel: Ile jest 80 plus 70?

Mały Goldfinkiel: Złoty pięćdziesiąt.

*

— Chaim, dokąd jedziesz?

— Do Wilna.

— Ty draniu! Jak ty mi mówisz, że jedziesz do Wilna, to chcesz, żebym ja myślał, że jedziesz do Grodna. Przypadkowo ja wiem, że ty doprawdy jedziesz do Wilna, więc poco kłamiesz?

*

Kugelszwancowi opowiadano cuda o słynnym medjum, które odgaduje myśli. Zaciekawiony poszedł na seans.

— Jeżeli pan odgadnie to, co ja teraz myślę, dostanie pan sto złotych.

Medjum, zachęczone obiecaną nagrodą, wpatruje się w oczy Kugelszwanca i wreszcie mówi:

— Pan... myśli... teraz... o tem, aby... ogłosić... upadłość... swojej firmy.

Kugelszwanc: Nic podobnego. Ale masz pan tu sto złotych. Pan mi poddałeś znakomity pomysł!

*

— Panie plutonowy, melduję posłusznie, że chciałbym jutro być zwolniony od ćwiczeń.

— A co tam znowu?

— Immatrykulacja.

— Ciągłe te żydowskie święta!

*

W Koluszkach wsiada do wagonu Natan Reingewinn i zaczyna rozmowę z sąsiadem na vis-à-vis:

— Skąd pan jedzie?

— Z Warszawy.

— A dokąd?

— Do Łodzi.

Natan Reingewinn namyśla się przez chwilę wreszcie mówi:

— Co za urządzenia są teraz! Coś wspaniałego! Pan jedzie z Warszawy do Łodzi, ja jadę z Łodzi do Warszawy, i obydwaj siedzimy w jednym przedziale, tylko z tą różnicą, że ja siedzę twarzą od lokomotywy, a pan twarzą do lokomotywy!

*

Zmarł znakomity i bardzo wpływowy dziennikarz. Anioły uniosły duszę jego do nieba i już po dwóch godzinach dziennikarz znalazł się u wrót raju.

— Kogo przynosicie, anioły? pyta św. Piotr.

— Dziennikarza.

— Niema miejsc.

I zamknął bramę.

— Może go umieścicie w piekle? poradził jeden z aniołów.

— Mnie jest wszystko jedno, odparł dziennikarz, niech będzie piekło.

Ale przed piekłem ta sama historja:

— Niema miejsc!

Co robić z biednym dziennikarzem? Aniołowie umieścili go na samotnej planecie. Nazajutrz zaczęło tam wychodzić pismo codzienne, a po tygodniu dziennikarz miał passe-partout do raju i piekła.

*

7-letni Morycek ma rozwiązać zadanie arytmetyczne: jak w najprostszym sposobie podzielić na równe części 11 jabłek pomiędzy dwanaścioro dzieci.

Morycek bez namysłu zaczyna pisać odpowiedź:

— Robimy kompot i następnie etc...

*

Towarzystwo dobroczynne urządza zabawę z atrakcjami. Komitet organizacyjny zwraca się do najwybitniejszych przedstawicieli sztuki, literatury i finansjery z prośbą o łaskawy współudział. Między innymi

napisano listy do uroczej p. Lucy Violi z prośbą o odtańczenie tańca nimfy i do starej, znanej ze swej tuszy dyrektorowej Szmalcman z prośbą o zajęcie miejsca przy kweście.

Po kilku dniach zarząd towarzystwa otrzymuje m. i. także dwie odpowiedzi:

1) „Dziękując za zaszczytną propozycję, zawiadamiam Sz. Zarząd, że z chęcią zasiądę przy kweście na rzecz Towarzystwa. Z poważaniem Lucy Violi“.

2) „Szanowni państwo! Rozumiem dobroczynność, rozumiem zabawę, wszystko rozumiem, ale żeby od osoby w moim wieku żądać produkcji tanecznych w roli nimfy, to przepraszam, nie rozumiem. Z szacunkiem Róża Szmalcmanowa“.

*

— Co? Podwyżkę? Z jakiego powodu?

— Żenię się, panie szefie.

— Wybacz pan: ja nie odpowiadam materialnie za nieszczęśliwe wypadki, które stały się poza obrębem biura.

*

— Panie gospodarzu! Ten rosół jest straszny! Oprócz dwóch palców kelnera, kawałka mięsa w nim nie było!

*

- W przedziale wagonu sypialnego.
— Słuchaj, obudź mnie, kiedy mi się będzie chciało pić.
— Skąd mam wiedzieć, kiedy będzie ci się chciało?
— Głupcze! Gdy mnie obudzisz!

*

— Kobieta, rzekł pewien znawca tych stworzeń, w jednym tylko wypadku powie coś dobrego o drugiej kobiecie. A mianowicie: aby zrobić na złość trzeciej.

*

- Mężu, wychodzę...
— A kiedy wracasz?
— Co to za kontrola? Wrócę, kiedy będę chciała!
— No dobrze, kochanie! Aby tylko nie później.

*

Autentyczny kwit z ciężkich czasów braku gotówki:

„Złotych 500 od p. S... dzięki Bogu otrzymałem“.

*

Wyjątek z opisu podróży:

„...Bogaty chińczyk, skazany na śmierć, może wynająć sobie zastępcę, który za pewnym wynagrodzeniem idzie pod miecz katowski. W ten sposób wiele biedaków zarabia w Chinach na życie“.

*

Z mowy obrońcy:

— Co z tego, panie prokuratorze, że sześciu świadków widziało, jak klient mój kradł? Ja panu sprowadzę 60-ciu świadków, którzy tego nie widzieli!

*

W budzie jarmarcznej pokazuje się „kobieta z brodą”; mały chłopczyk chodzi między ławkami i zbiera datki od publiczności.

— Powiedz no, mały, pyta jeden z widzów, ta kobieta z brodą to twoja matka?

— Nie proszę pana, to mój tatuś.

*

Pięcioletni smyk zgubił w tłumie ojca, beczki, szuka, wreszcie zwraca się do policjanta:

— Czy pan czasem nie widział jednego pana bez takiego chłopczyka jak ja?

*

— Ale nerwus z tego Pinkelesa!

— Dlaczego?

— Widziałem go wczoraj na peronie. Spóźnił się na pociąg o kwadrans, a krzyczał, jakby się spóźnił o godzinę!

*

Do kancelarii szpitala wojskowego wchodzi młodziutka, uroczą panią i zwraca się do dyżurnej siostry miłosierdzia:

- Chciałabym zobaczyć się z porucznikiem T...
- Tylko krewni mają dostęp do porucznika T.
- Jestem jego kuzynką!...
- Bardzo mi przyjemnie. Jestem jego matką!

*

— Jak długo będę żył, nigdy już nie zabiorę żadnego pożyczanego przedmiotu do domu! Kilka dni temu pożyczyłem sobie w magazynie krawieckim nożyczki — no, nie masz pojęcia ile mnie to kosztowało!

— Domyślam się: posądzono cię o kradzież!

— Ale! Zupełnie co innego. Nożyczki wisiały na tasiemce, a z drugiej strony tasiemki przyczepiona była śliczna modystka...

*

Zeszli się trzej subjekci i zaczęli wychwalać olbrzymie rozmiary firm, w których pracują, oraz kolosalne interesy, dokonywane przez nie.

— U nas, powiada jeden, księga główna jest tak wielka, że od stronicy „Ma“ do stronicy „Winien“ trzeba jechać motocyklem.

— A u nas, mówi drugi, postanowiono ostatecznie stawiać kropkę nad „i“. W ten sposób zaoszczędza się na atramencie 10.000 złotych tygodniowo.

— To wszystko nic, oświadcza trzeci. Nasz bank jest tak ogromny, że nie może nikomu udzielić dłuższych kredytów, gdyż zanim klient wyjdzie z otrzymaną gotówką na ulicę — już musi wracać, bo jest termin zwrotu pieniędzy.

*

Zebrani w cukierence za Żelazną Bramą przyjaciele opowiadają sobie różne niezwykle przygody.

— Kiedy jechałem do Ameryki, mówi Kugelszwanc, miałem taką przygodę, że coś strasznego. Okręt wiozł tysiąc worków prochu. Nagle kapitan zwarjował i rzucił zapaloną pochodnię na ten dynamit...

— Straszne! Okropne! odzywa się jeden z obcych. Ale jak się ty uratowałeś? Przecież cały okręt musiał wylecieć w powietrze?

— Takby się mogło wydawać! Ale co robi Pan Bóg? Ta cała historia jest przeze mnie wymyślona!

*

— Dlaczego szeregowiec nie salutował tego porucznika, który przechodził?

— Panie kapitanie, to mój brat.

— Wszystko jedno! Gdyby to nawet był ojciec, trzeba mu szacunek okazać!

*

Kugelszwanc oświadcza przyszłej swej teściowej, że prawdopodobnie ożeni się z jej córką, ale stawia jeden warunek: musi przed ślubem zobaczyć pannę całkiem nago.

Kugelszwanc — to świetna partja. Z kapryсами jego trzeba się liczyć. Postanowiono, że kiedy panna będzie się kąpać, Kugelszwanc stanie za drzwiami łazienki i będzie się przyglądał przez dziurkę od klucza.

Tak też uczyniono. Po seansie Kugelszwanc oświadcza:

— Nie mogę jej wziąć. Ona ma za duży nos.

*

Księżna powiła małego negra! Skandal! Rozpacz!
Księżna nie posiada się z oburzenia:

— Rozumiem! Mąż mój zdradził mnie z murzynką!

*

— Wiesz, Moryc, to całe życie wydaje mi się jak długi, żelazny most...

— Dlaczego?

— Albo ja wiem?

*

— Panie Cymesman, ile osób pracuje w pańskim biurze?

— Dziewięć. Ale właściwie tylko osiem. Jedna zawsze siedzi w 00.

*

Joel Perlstein przyjął chrzest, a teraz chce także zmienić imię i nazwisko. Składa podanie w M. S. W., w którym zaznacza, że pragnie nazywać się Józef Poniatowski.

Urządник zwraca mu uwagę, że byłoby wielkim nietaktem przyjęcie imienia i nazwiska bohatera narodowego.

— Widzi pan, odpowiada Joel Perlstein, chodzi mi o to, żebym nie potrzebował zmieniać monogramu na bieliźnie...

*

— Nie masz pojęcia, Abram, jakie ja mam zmartwienie.

— Co jest?

— Moja córka wychodzi za mąż. Obiecałem zięciowi 20 tysięcy złotych — i brak mi połowy.

— Czego się martwisz? Przecież zwykle daje się tylko połowę...

— Właśnie *tej* połowy mi brak!

*

Rzecz dzieje się na brzegu rzeki. Osoby: 1) ojciec, 2) mały zmoknięty, przed chwilą wyciągnięty z wody synek, 3) rybak.

Ojciec. To pan wyciągnął mego syna z wody?

Rybak. Ja proszę pana.

Ojciec. (groźnie): A gdzie jest czapka?!

*

— Co jest lepsze: piętnaście lat więzienia czy dożywnie?

— Dożywnie.

— ???

— Bo piętnaście lat nie każdy wytrzyma, a dożywnie — każdy.

*

Pani L. podróżuje po Włoszech z trzyletnią córeczką Hanią. Podczas przechadzki po ulicach Rzymu Hania woła:

— Mamusiu, ja chcę siusiu!

Mamusia jest w kłopotcie. Rozgląda się, dokądby Hanię zaprowadzić. Nagle przypomina sobie jakieś szczegóły z historii Rzymu, zwraca się więc do policjanta:

— Signore, dove e Cloaca maxima?

*

Himmelfarb modli się w bóżnicy. Kiwa się, gestykuluje coraz gwałtowniej, wreszcie w uniesieniu religijnem zaczyna krzyczeć i walić ręką w pulpit. Sąsiad napomina go:

— Nie wrzeszcz tak do Pana Boga! Wierz mi, że łagodnością więcej zrobisz, niż gwałtem!

*

— No, Hipek, (mówi Moryc) dajmy spokój tym kłótniom, przeprosimy się i znowu będziemy przyjaciółmi. Życzę ci wszystkiego tego, czego ty mnie życzysz...

— Znowu zaczynasz?!!

*

— Maniu, proszę zobaczyć, czy w salonie światła nie zostawiłam?

— Przechodziłam właśnie, proszę pani, ale nie zauważyłam, bo tam ciemno.

*

— Tatusiu! Ja także chcę iść jutro na pogrzeb cioci!

— Nie można, Józiu! Dopiero przedwczoraj byłeś w cyrku...

*

Służący, który obraził swego pana, staje przed sądem i otrzymuje karę. Po skończeniu rozprawy zwraca się do sędziego:

— Panie sędzio, chciałem zadać jedno pytanie: czy służącemu nigdy nie wolno powiedzieć do swego pana „ty ośle!”

— Nigdy!

— Ale do osła wolno powiedzieć „proszę pana”?

— Nikt panu nie broni.

— W takim razie: do widzenia, proszę pana!

*

W sypialni pp. Feinblum, pary małżeńskiej w podeszłym wieku, słyhać nocą namiętny szept pani Feinblumowej, spoczywającej w ognistych objęciach swego małżonka:

— Moryc, ja cię chcę ugryźć! Podaj mi zęby! Są w szufladce!

*

Baron Albert Rotszyld wspomagał wielu swych ubogich współwyznawców. Między innemi, niejaki Aron Kohn zgłaszał się przez wiele lat punktualnie co miesiąc po odbiór przynależnej mu zapomogi w kasie banku Rotszyldów w Wiedniu. Kasjerowi, który był antysemitą, działał Aron Kohn na nerwy. Kiedyś kasjer ten zwraca się żartem do Arona:

— Panie Kohn, możeby pan tak podarował baronowi te kilkanaście koron?

— Co znaczy podarować? A mnie ktoś co podaruje?

*

Pijak potraça mocno przechodnia.

— Cóż to panie, woła potracony, ślepy pan czy co? Nie widzi pan ludzi?

— Prze... przeciwnie, p... p... proszę łaskawego pana, w oczach mi się d... d... dwoi i zamiast pana zo... zo... zobaczyłem dwóch!

— No i cóż z tego?

— Chciałem przejść mię.. między wami...

*

— Czy zadowolony jesteś z restauracji, którą ci narailem?

— Średnio... Zupy niezłe.

— A jak znajdujesz mięso?

— Bardzo łatwo: jak odgarnąć kartofle, to zaraz widać.

*

— Panie ober! Befszyk jak podeszew a nóż tępy!

— Niech pan naostrzy nóż o befszyk!

*

— Fajerman, co wolisz: tysiąc złotych pożyczki czy dziewięćset na własność?

— Chamerkopf! naturalnie, że 900 na własność!

— Idjota! Nie żal ci tej setki?

*

— Tatusiu, przy ilu stopniach woda zaczyna się gotować?

— Przy stu, synku.

— A skąd woda wie, kiedy jest akurat 100 stopni?

*

— Nie masz pojęcia, Izak, ile mnie ta armja kosztuje!

— Co jest? Dlaczego?

— Mego Hipka wzięli do wojska. Najpierw był w piechocie, to pisał, żeby mu przysłać na buty, teraz przenieśli go do kawalerji, to muszę mu konia kupić. Drzę na myśl, że go przeniosą do marynarki.

— Dlaczego?

— Jakto dlaczego? Idź, kupuj krążownik!

*

Szykier dowiaduje się, że wdowa po Cypkinie, którego przejechał samochód, dostała 25 tysięcy złotych odszkodowania.

Z piersi Szykiera wyrywa się głębokie westchnienie:

— Biedny Cypkin! Jak onby się cieszył!

*

— Wiesz, Chaim, ten konduktor w wagonie patrzył na mnie przez cały czas takim wzrokiem, jakbym nie miał biletu...

— I co zrobiłeś?

— Nic. Patrzyłem na niego tak, jakbym miał bilet.

*

Katzensprung jest starym kawalerem. Ale ma przyjaciółkę wdowę, do której od wielu lat chodzi co wieczór.

— Powiedz mi, zagaduje go kiedyś przyjaciel, dlaczego nie żenisz się z tą kobietą...

— Miałem już kiedyś ten zamiar, odpowiada Katzensprung, ale pomyślałem sobie: dokąd ja wtedy będę chodził wieczorem?

*

Pewien Anglik zwiedza katedrę w Kolonii. Przy ołtarzu N. M. Panny spostrzega wmurowaną w ścianę srebrną mysz. Zaciekawiony obecnością tej figurki w kościele, zapytuje przewodnika, co to oznacza.

— Było to tak, odpowiada przewodnik: kiedyś nawiedziła Kolonję taka klęska myszy, że ludność ofiarowała Najśw. Marji Pannie tę rzeźbę, aby odwrócić grożące niebezpieczeństwo.

— I pomogło to?

— Pomogło.

— A czy ludność do dziś dnia wierzy w skuteczność tego sposobu?

— O, nie, odpowiada przewodnik, gdyż w przeciwnym razie stałby tu już dawno Anglik ze srebra.

*

Rzecz dzieje się w Leningradzie.

Monarchista, komunista i niejaki Rejwachman (bezpartyjny) rozprawiają o tem, gdzie każdy z nich pragnąłby zostać pochowany po śmierci.

— Ja, oświadcza monarchista, chciałbym leżeć przy cesarzu Aleksandrze III.

— Ja, mówi komunista, chciałbym leżeć przy Leninie.

— A ja, mówi Rejwachman, chcę leżeć przy pani Cyperowicz.

— Jakto? Przecież pani Cyperowicz żyje!

— A czy ja umarłem?

*

Za pogrzebem jednego z Rotszyldów kroczy jakiś biedak i zanosi się łzami. Ktoś, wzruszony jego rozpaczą, zagaduje go:

— Pan jest pewno blizkim krewnym niebosz-
czyka?

— Niestety, nie! I dlatego tak szlocham.

*

Pan Lövy pałał dziką, wrzącą namiętnością do ponętnej pani Rebeki Zalcstein. Ale stary Fajwel Zalcman pilnował żony, jak oka w głowie. Lövy męczył się i cierpiał. Wściekła chuć wzbierała w nim płomieniami szału. Kiedyś stary Zalcman miał wyjechać. Lövy otrzymuje od pani Rebeki list: „Mąż wyjeżdża o 10-ej wieczorem. Ukryj się gdzieś przed naszym domem. Gdy tylko stary wyjdzie, rzucę ci z okna nikłowe 20 groszy. Będzie to znak, że możesz wejść na górę. Czekam spragniona. Twoja Rebeka“.

Nareszcie! Nareszcie! Lövy szaleje z niecierpliwości. O 10-ej zajmuje stanowisko. Po kilku chwilach Lövy słyszy brzęk rzuconej monety.

Pani Rebeka Zalcstein czeka 5 minut. Löwego niema. Kwadrans — niema go. Pół godziny — niema go. Godzina — Löwego nie widać.

Wreszcie po pięciu kwadransach zjawia się.

— Najdroższy! Dlaczego tak długo?

— Wyobraź sobie, że do tej chwili szukałem tych 20 groszy!

*

— Cóż to za łotry, ci mężczyźni! Przysięgam ci, że gdyby mój pierwszy mąż nie umarł, nie wyszłabym powtórnie za mąż!

*

Człowiek przychodzi z wizytą. Dzwoni. Otwiera mu służąca.

— Czy państwo w domu?

— Owszem, są.

— No to przyjdę kiedyindziej.

*

— Siedzę kiedyś nad rzeką, łowię ryby. Nagle ciągnie coś, ale tak ciągnie, jak nigdy. Myślę: gruba sztuka będzie. I wyobraż sobie wyciągam — wieloryba.

— Phi, mój drogi! Cóż to jest wieloryb? Ja wieloryby używam na przynętę!

*

— Ważna rzecz ten liliput! mówi pan Feinduft w panopticum. Widziałem już większych liliputów!

*

Jeżeli siedzisz przy obiedzie w towarzystwie kobiety, która cię zanudza i pragniesz aby obraziła się na ciebie i przestała mówić, możesz uciec się do sposobu następującego. Wypadek pierwszy.

Zadajesz jej pytanie:

— Czy pani jest mężatką?

— Tak jest.

— A czy ma pani dzieci?

— Mam.

— Czy wszystkie od męża?

Koniec. Nie odezwie się już.

Drugi wypadek:

— Czy pani jest mężatką?

— Nie.

— A ma pani dzieci?

Słowem się więcej do ciebie nie odezwie.

Trzeci wypadek:

— Czy pani jest mężatką?

— Tak.

— Czy ma pani dzieci?

— Nie.

— Jak pani to robi?

*

Mąż skorzystał z nieobecności żony i zdradził ją — z przystojną pokojówką.

— Wiesz, Franiu nigdy nie zaznałem takiej rozkoszy z moją żoną.

Frania wstydliwie:

— Wszystkie panowie, co u nas bywajom mówiom to samo: że pod tem względem to wolom mnie niż naszym paniom.

*

— Czytam teraz „Życie Jezusa“ Renana...

— Podoba się pani ta książka?

— Całej jeszcze nie przeczytałam...

— A czy doszła już pani do tego miejsca, kiedy...

— Ach, niech mi pan tylko nie mówi, jak się to kończy...

*

Przez drzwi:

Głos męski: Panie Stanisławie...

Głos kobiety: Niema go. Wyjechał. A ja leżę już w łóżku...

Głos męski: Więc właśnie! Niech mnie pani wpuści!...

Głos kobiety: Kiedy tu już jest ktoś...

*

Autentyczny aforyzm pewnego dorożkarza warszawskiego:

— Wódka, proszę pana, naród gubi, ale pojedynczemu człowiekowi nic nie szkodzi.

*

Państwo N. zaprosili kiedyś ubogiego krewnego z prowincji, nazwijmy go Józef, na kilka dni do Warszawy. Józef zachwycony jest mieszkaniem bogatych krewniaków, oszołomiony ruchem ulicznym stolicy, słowem jest w siódmym niebie. Przyjechał późnym wieczorem i po krótkim przywitaniu kładzie się spać.

W nocy budzi Józefa silny ból. Żołądek. Musi wstać. Błądzi po wielkiem mieszkaniu, szuka odpowiedniej ubikacji, której brak odczuwa coraz dotkliwiej. Ale nie może znaleźć. Wreszcie doprowadzony do ostateczności, wrywa z donicy roślinną palmę i... Potem wsadza z powrotem palmę na dawne miejsce, przysypuje ją ziemią i wszystko jest w porządku. Wypadek ten tak fatalnie podziałał na biednego Józia, iż

nazajutrz oświadczył rodzinie, że musi wracać do domu.

Po kilku dniach otrzymuje depeszę z Warszawy:
— Przebaczymy wszystko, ale na litość Boga telegrafuj *gdzie!*

*

Przed otyłym bankierem stoi młoda dziewczyna i szlochając opowiada mu coś.

Bankier uspakaja ją:

— Nie płacz, kochanie, nie płacz... Może to nie to... Widzisz przecież — ja też mam brzuch...

*

— Panie szefie, przepraszam, że się spóźniłem, ale po drodze dostałem mdłości, musiałem wstąpić do cukierni.

— Co się stało?

— Drobnostka. Jechałem tramwajem i byłem twarzą zwrócony przeciw biegowi tramwaju. Zawsze mi się od tego robi niedobrze.

— Mógł pan przecież poprosić osobę siedzącą vis-à-vis, aby się z panem zamieniła miejscem.

— Mój pech, panie szefie! Naprzeciwno akurat nikt nie siedział!

*

— Północ. Ulice puste. Kon i Lewi wracają do domu. U wylotu ulicy spostrzegają jakieś dwie zbliżające się postacie.

— Lewi, przejdźmy lepiej na drugą stronę, mówi Kon.

— Dlaczego?

— Ostrożność nie zawadzi. My jesteśmy sami, a ich jest dwóch.

*

— Tate, ja się żenię.

— Co jest?

— Zakochałem się.

— Węgrzyn jesteś, żeby się kochać? Nie rozumiem.

— Zakochałem się w Rózi i chcę się żenić.

— Co ci z tego przyjdzie?

— Tate, ja będę szczęśliwy!

— A jak już będziesz szczęśliwy, to co będziesz z tego miał?

*

Akcje stały wtedy bardzo kiepsko. Takie Starachowice naprzykład notowane były na giełdzie złoty groszy trzydzieści.

Do bramy Akc. Tow. Zakł. starachowickich przy ul. Wareckiej kryje się podczas ulewnego deszczu giełdciarz warszawski Szmaceron.

Groźny portjer w liberji zwraca się do Szmacerona kategorycznie:

— Proszę wyjść, tutaj nie wolno stać. Szmaceron spogląda nań z pogardą i oburzeniem:

— Ta chucpa (śmiałość, bezczelność) przy złoty trzydzieści!

*

— Hipek, kto ci dał tę astrę, którą nosisz w klapie?

— To nie jest astra, to jest chryzantema.

— Nie zawracaj głowy! Wyrażna astra!

— A ja ci mówię, że chryzantema!

— Zapewniam cię, że astra!

— Założę się o co chcesz, że chryzantema!

— Chryzantema! A propos, jak się pisze słowo „chryzantema“?

Hipek ogląda przez chwilę kwiatek. Wreszcie mówi:

— A zresztą... może masz rację. To jest astra.

*

— Czyś ty zwarzował? W lipcu wybierasz się do Nicei? Przecież tam jest 50 stopni w cieniu!

— A kto mi każe w cieniu chodzić?

*

Komik wiedeński Girardi opowiadał niegdyś następującą historję:

„...Więc było to, proszę państwa, tak. Wyszedłem sobie za miasto na spacer. Idę, idę, nagle widzę, że ktoś leży w rowie. Podchodzę — własnym oczom nie wierzę: sam Wielki Książę Leopold Salvator. Książę,

powiadam, co się stało? A on na to: „Widzisz mój drogi, jechałem konno. Nagle koń spłoszył się, wyrzucił mnie z siodła i gdzieś pogalopował. Teraz nie mogę się ruszyć“. Pomagam więc księciu wstać, biegnę do pobliskiej chaty po bryczkę i konie, wsadzam księcia i odwożę do zamku. A kiedyśmy się zegnali książę powiedział: „Dziękuję ci, drogi przyjacielu. W dowód mej wdzięczności przyjmij ode mnie ten zegarek“. Po odejściu księcia otwieram kopertę zegarka i widzę wyryte na nim słowa:

„Kochanemu Aleksandrowi Girardowi, który uratował mi życie, wdzięczny książę Leopold Salvator“.

*

Lało jak z cebra. Deszcz złapał Rajzesa i Dawidowera na ulicy.

Rzekł tedy Dawidower do Rajzesa:

— Wiesz co? tramwaje są przepelnione, o drodze ani marzyć, parasola nie mam, przenocuję więc u ciebie, mieszkasz tak blisko.

Rajzes zgadza się na propozycję przyjaciela. Pędzą i po chwili są w mieszkaniu. Nagle Dawidowera znika. Mija pół godziny, godzina, półtorej. Dawidowera niema. Wreszcie po dwóch godzinach, zmoknięty, zziębnięty, zjawia się u zaniepokojonego Rajzesa.

— Gdzieś ty był?

— Poleciałem tylko do domu po nocną koszulę.

*

— Mam teraz świetny interes. Fabrykuję pasztety.

— Jakie pasztety?

— Pierwszorzędne zajęcze pasztety?

— Przyznaj się, że używasz pewno jakichś domieszek do twego specjału.

— Nie będę ukrywał: używam koniny. Ale sprawiedliwie, pół na pół: jeden koń, jeden zając...

*

Kolacja zjedzona. Była znakomita. Obydwaj przyjaciele są nasyceni. Wina wypite. Cygara wypalone. Siedzą rozmarzeni przy stoliku wielkiej restauracji i milczą.

Wreszcie jeden z nich odzywa się:

— Zapłaciłeś już?

— Nie. Ale dlaczego się pytasz. Czyś ty może zapłacił?

— Ja? Także nie. W takim razie na co czekamy? Chodźmy!

*

Do sklepu z czekoladkami wchodzi poważny jegomość i prosi o litery odlane z czekolady.

— Owszem, odpowiada panna sklepowa — mamy czekoladki w formie liter, ale robimy je tylko na obsta-lunek.

— A więc proszę mi przygotować możliwie szybko dziesięć sztuk w formie litery „A” i dziesięć liter „B”.

Sklepowa zapisuje obstalunek i prosi o pofatygowanie się nazajutrz w godzinach popołudniowych. Nazajutrz zjawia się punktualnie tajemniczy jegomość i prosi o żądane litery.

— Oto są odpowiada usługująca.

Jegomość jest rozgniewany.

— Proszę pani — to są kpiny — prosiłem o zwykłe litery a pani zrobiła litery gotyckie. Proszę o zupełnie zwyczajne proste litery!

— Owszem mogą być zwykłe ale musi pan w takim razie poczekać do jutra.

— Ostatecznie — godzi się jegomość — mogę jeszcze do jutra poczekać, ale proszę nie robić zawodu.

Nazajutrz kiedy klient przychodzi po odbiór obstalunku musi czekać, gdyż litery czekoladowe jeszcze nie są gotowe. Wreszcie, kiedy już się zaczyna niecierpliwić, sklepowa przynosi i pokazuje mu żądane litery odlane z czekolady.

— No dobrze — powiada jegomość. — Wiele płacę?

— Dziesięć złotych. — Czy mam zapakować?

— Nie, dziękuję bardzo — ja zjem na miejscu.

*

Do sklepu z wyrobami żelaznymi, w takiej godzinie gdy niema pryncypała, tylko młody chłopiec stoi za kontuarem, wchodzi gość i zwraca się uprzejmie:

— Proszę o książkę „Związki niebezpieczne“ Laclos w przekładzie Boy'a.

— Co proszę pana? — pyta zdziwiony chłopiec.
— Proszę o „Związki niebezpieczne“ w dwu to-
mach...

— Kiedy tu jest proszę pana sklep z żelazem...

— Wiem — odpowiada klient — i proszę o tę
książkę — jest to wydanie Hyperjonu w dwu tomach
w oprawie.

— Może pan chwilę zaczeka — mówi zmieszany
chłopiec — pójdę do pryncypała i powiem mu zaraz.

Subjekt idzie do pryncypała i opowiada że jakiś
pan chce nabyć „Związki niebezpieczne“ Laclos, w dwu
tomach w oprawie i nie chce wyjść ze sklepu. Właści-
ciel wychodzi za ladę z miną człowieka podirytowane-
go, który ma do czynienia z warjatem albo pijanym
i pyta dość ostro:

— A więc czego pan sobie życzy?

— Proszę o śrubkę — odpowiada spokojnie nie-
znajomy.

*

Do sklepu z kapeluszami wchodzi młody elegancko
ubrany człowiek i pisze na karteczce: „Proszę o me-
lonik czarny w cenie trzydziestu złotych“. Panna skle-
powa czyta tę karteczkę ze współczuciem i pokazuje
żądany kapelusz. Młody człowiek pisze znów na kar-
teczce, że kapelusz jest troszkę za mały i pokazuje na
migi aby dać mu nieco szerszy. Po przymierzeniu
melonika pisze znowu na kartce, prosząc o zapakowa-
nie starego kapelusza, płaci należność w kasie i sto-

jąc już we drzwiach zwraca się z czarującym uśmiechem do usługujących pańienek — mówiąc głośno:
— Moje uszanowanie!

*

Mały hotelik prowincjonalny jest tak przepelniony, że dwaj przyjezdni przyjaciele otrzymują jeden pokój o bardzo wąskim łóżku. Kładą się spać. Nocleg to nie bardzo wygodny, gdyż Moryc jest bardzo gruby, a Dawid jeszcze cięższy.

O północy Dawid wstaje. Moryc budzi się także i pyta:

— Co robisz?

— Idę przewrócić się na drugi bok.

*

Także w hotelu na prowincji.

Pokojówka budzi śpiącego gościa:

— Panie, *śpij pan prędzej!* Prześcieradło potrzebne! Nakrywam do obiadu!

*

Bogatego fabrykanta P. długo błagał Salo Macenstein o zapomogę, aż wreszcie otrzymał kilkadziesiąt złotych.

Tego samego dnia wieczorem P. wchodzi do Bystolu i widzi Macensteina spożywającego łapczywie porcję grubo-ziarnistego kawioru. P. jest oburzony:

— Panie Macenstein! Co to znaczy? Przed kilkoma godzinami otrzymał pan odemnie jałmużnę, a teraz zajada pan kawior?

— Przepraszam pana, odpowiada Salo, kiedy nie mam pieniędzy — nie mogę jeść kawioru, kiedy mam pieniądze — niewolno mi jeść kawioru, no to pytam się pana: kiedy ja właściwie mam jeść kawior?

*

Hordy kozaków rabują małe miasteczko. Całą rodzinę ubogiego szewca Berla ograbiono doszczętnie, związano i zbito. Nie zauważono tylko starej babci Fajgi, siedzącej w piwnicy. Kiedy rozhulani żołdacy opuścili dom Berla, starowina wychodzi na światło boże i zapytuje zdumiona:

— Co jest? Dziś się nie gwałci?....

*

W gabinecie nocnego lokalu wre zabawa. Pipman szaleje! Kobiety, szampan, muzyka, tańce, bachanalja. Rozhulany Pipman czuje się jak w raju. Wtem kelner przynosi depeszę. Niestety! Pani Pipmanowa umarła.

Pipman chowa depeszę do kieszeni i woła:

— Oj, to jutro będzie płacz!!

*

Pobór w miasteczku, popłoch, ludność męska chowa się na strychach, w piwnicach, w szafach, gdzie się da.

75-letni Fajwel Aronfuss ukrył się także. Podczas skrupulatnego przetrząsania domu policja znajduje go wciśniętego w jakiś kąt. Aronfuss drży na całym ciele.

— Dlaczego pan się chowa? pyta przedstawiciel władzy. W pańskim wieku nie grozi panu przecież pobór, ma pan już przecież 75 lat!

— Jakto? — pyta Aronfuss — a generałów w wojsku nie potrzeba?

*

Pani Neureich zdanie o nowo wystawionym dramacie:

— To nie jest sztuka na premjerę!

*

Tego łotra Sonnenbluma długo szukał Karpeles i nigdzie nie mógł go znaleźć. A wściekły był na niego o tę historję z wekslami, że coś okropnego! Wreszcie spotyka go na ulicy.

— Ty łobuz, ty ganew, ty cham! Nareszcie cię widzę! Takich jak ty rabusiów trzeba wieszać na latarniach! Bydlę, psiakrew!

Sonnenblum milczy. Kilku przechodniów przystaje i przysłuchuje się awanturze.

— Oszust! Świnia! Żebyś miał przy sobie rewolwer, tobym ci tutaj na miejscu dał w mordę! Grandziarz! Złodziej! Ostatni podlec!

Sonnenblum milczy. Tłum zbiera się coraz większy, Karpeles pieni się:

— Choroba żeby cię zdusiła ty psie! Szlag żeby cię trafił, ty łotrze! Policję zawołam, do więzienia cię wpakuję, ty wyrostku robaczkowy społeczeństwa, ty zbrodniarzu! ty bandyto!

Sonnenblum milczy. Słucha z ciekawością wymysłów Karpelesa, aż wreszcie odzywa się:

— Bardzo dobrze mu powiedziałaś. I co on na to?

*

Kłótnia małżeńska na ulicy. Padają słowa coraz ostrzejsze. Dokoła rozwścieczonych małżonków zbiera się garstka ludzi, potem tłum. Ilość ciekawych wzrosła wreszcie do tego stopnia, że jakiś osobnik, stojąc na palcach w końcu gromady, woła:

— Głośniej tam wymyślać! Tutaj nic nie słyszeć!

*

Wypadek najcięższej manji wielkości w zakładzie dla obłąkanych. Choremu się zdaje, że jest królem francuskim Ludwikiem XVI-ym. Młody psychiatra L. zainteresował się paranoikiem i leczy go przez cały rok.

— No i jakież rezultaty, kolego? — pyta doktora L. lekarz naczelny szpitala.

— Powolutku, kolego, a wszystko będzie dobrze. Obecnie chory twierdzi, że jest Ludwikiem XV-ym. Jednego już wytargowałem. Jeszcze kilka lat...

*

Jak bomba wpada Abramowicz do kawiarni:

— Gelbfisz! Jeżeli się pospieszysz i w tej chwili polecisz do domu, zastaniesz swoją żonę z Konem!

Gelbfisz spokojnie:

— Poco mam się spieszyć? O ile ja znam Kona, to on jeszcze dobre parę godzin z nią będzie razem.

*

List handlowy.

Do firmy „Polgeszeft“ w miejscu.

Uprzejmie proszę Sz. Panów o przysłanie mi worka pieprzu najlepszego gatunku, tego co ostatnio. Zresztą, niech panowie będą łaskawi poczekać chwileczkę, sprawdzę w składzie, czy nie potrzebuję także wanilji.

Wracam właśnie ze składu. Wanilji mam dość jeszcze, a zapas pieprzu, jak się okazuje, jest także wystarczający.

Proszę więc nie wysyłać ani wanilji ani pieprzu.

Z poważaniem....

*

Nowy styl listów handlowych:

...Niniejszym przesyłamy zamówiony materiał wraz z rachunkiem, płatnym niezwłocznie gotówką. Jednocześnie powierzyliśmy sprawę naszemu adwokatowi.

Z poważaniem...

*

List handlowy:

Wielmożny Pan Moryc Finkeles w Łodzi.

Pański bezczelny list, domagający się zwrotu pieniędzy otrzymałem. Zawiadamiam pana, że przy końcu każdego roku kładę do szuflady mego biurka wszystkie niezapłacone rachunki i dnia 1 stycznia na chybił trafił wyciągam jeden z nich. Wyciągnięty w ten sposób rachunek zostaje w ciągu roku regulowany. Ostrzegam pana, że jeżeli pan ośmieli się jeszcze raz przypomnieć mi o wiadomym długu, wykluczę pański rachunek z loterii.

Z poważaniem

Abram Cypkin

*

Moskwa. Rewolucja. Tłum rozbija sklepy i grabi towary. Na czele tłumu mały czarny jegomość z wózkiem ręcznym. Pakuje na wózek, co się da. W pewnej chwili podchodzi doń jakiś znajomy i mówi oburzony:

— Panie Kantorowicz, co to znaczy? Pan kradnie razem z temi zbójami?

Mały czarny jegomość odwraca się i szepce bojaźliwie:

— Csss! Na litość Boga! Ciszej! To przecież mój własny sklep!

*

— Wyobraź sobie co za historia! Wsiadam dziś na Marszałkowskiej do dziewiątki i kogo widzę w tramwaju? Spinozę!

- To niemożliwe! To wykluczone!
— Dlaczego wykluczone?
— Dziewiątka wcale nie przejeżdża przez Mar-
szałkowską!

*

— Mówię ci, że nasz rabin to święty człowiek, to prorok...

- Dlaczego?
— Jakto, nic nie wiesz? Przecież codzień po o-
biedzie on rozmawia z Bogiem.
— Skąd o tem wiesz?
— Jakto skąd? Nasz rabin sam mi to opowiadał.
— Rabin sam ci opowiadał? A może on kłamie?
— Kłamie? To według ciebie Bóg pójdzie rozma-
wiać z kłamczuchem?

*

Mojżesz Lewi nie wstydzi się swego uniformu na-
rodowego: w chałacie, jarmułce, z długą brodą i pej-
sami podróżuje po Europie.

W Rzymie na stacji chce wsiąść do wagonu. Kon-
duktor zatrzymuje go:

— Proszę nie wchodzić ten przedział zarezerwo-
wany jest dla kardynała.

Mojżesz Lewi uśmiecha się:

— A kto panu powiedział, że ja nie jestem kar-
dynałem?

*

Ślepy od urodzenia Abram Garfunkel pije mleko. Wzdycha. — Gdybym tylko wiedział, jak to mleko wygląda!...”

— Mleko jest białe — odpowiada mu przyjaciel jego Tobjasz.

— A co to jest białe?

— Jakby ci wytłumaczyć? Łabędź jest biały.

— A skąd ja wiem, jak wygląda łabędź? — pyta nieszczęśliwy Abram.

— Łabędź to taki ptak z krzywą szyją, tłumaczy Tobiasz.

— A co to jest krzywy?

— Krzywy... krzywy... no, złap mnie na przykład za rękę. Teraz ją zginam i ona jest krzywa...

Abram obmacuje zgięte ramię Tobiasza i mówi:

— Dziękuję ci, Tobiasz! Teraz już wiem, jak wygląda mleko.

*

— Człowieku, co ty wyrabiasz? Dlaczego latasz nago po mieszkaniu?

— Bo wiem, że nikt dziś do mnie nie przyjdzie.

— A poco nosisz cylinder na głowie?

— A nuż jednak ktoś wpadnie?

*

Table d'hôte w eleganckiej miejscowości kąpielowej.

Oschły, milczący mr. Brown zajada cielęcinę. Do mięsa podaje mu kelner miseczkę szpinaku.

Mr. Brown wylewa sobie całą zawartość miseczki na głowę.

Okrzyk przerażenia obecnych:

— Co to?! Co pan robi?!

— O, przepraszam, odpowiada mr. Brown, myślałem, że to już kompot.

*

Stworzenie człowieka jest wynalazkiem Boga. Niestety, Stwórca zapomniał opatentować swój wynalazek i teraz każdy bałwan naśladuje go.

*

Roda opowiadał podczas wojny następującą anegdotę. Dowództwo pewnego okręgu wojskowego zażądało od jednego z pułków piechoty podania numerów samochodów ciężarowych, którymi rozporządza. Przychodzi depesza.

„27345, 9811, 3465, 7859, 10341”

Depesza ta przez pomyłkę dostała się do rąk szefa szyfrów wojskowych w sztabie generalnym. Odszyfrował ją oczywiście i przesłał dokąd należy, nie zastanawiając się wobec nawału pracy nad treścią. A treść brzmiała następująco:

„Koreańska rodzina królewska w Marburgu nad Dunajem zaręczona ze szmalcem pod torpedą.

Uwaga: Sprawdzić. Pomyłka niewykluczona.

Paweł Morgan, autor książki „Die einsame Träne” z której dykteryjkę tę czerpiemy, opowiada, że historia

wywołała w pewnym towarzystwie salwy śmiechu. Na-
zajutrz spotyka Morgan jedną z pań:

„Pański dowcip o depeszy był znakomity. Chcia-
łam go dziś opowiedzieć przyjaciółce, ale niestety nie
pamiętałam tych liczb“.

*

Kelner woła do kawiarki:

— Kawa raz!

— Czarna czy biała?

— Wszystko jedno, to dla ślepego.

*

— Och, czasy, czasy! Niema tygodnia, żebym do
interesu tysiąca złotych nie dołożył!

— Dlaczego więc nie zamykasz sklepu?

— A z czegoż wtedy będę żył?

*

Lekcja astronomji. Mały Salomonek słucha uważ-
nie wykładu. Wreszcie wstaje:

— Panie nauczycielu, przepraszam, jak daleko
jest od ziemi do Saturna?

— A bardzo się cieszę, że cię to interesuje. Odle-
głość ta wynosi 187 miliardów 869 milionów kilome-
trów i 807 metrów.

— Ta-a-k? A ja sobie wyobrażałem tę przestrzeń
o wiele większą!....

*

— Z Lajbowiczem źle! Lada dzień zbankrutuje.
— Nie opowiadaj, taki bogacz!
— Dam ci mały przykład. Przychodzę tam wczoraj — i co widzę? Nie uwierzysz! Doszło już do tego, że obie córki grają na jednym fortepianie!

*

— Felchenblum, mówi Szmajsman kup ode mnie weksel Rotszylda!

— Weksel Rotszylda? Pokaż!

— Warjat! oburza się Feinchenblum, przecież tu niema jego podpisu.

— Idjota! odpala Szmajsman, — takiemu Rotszydowi nie możesz na słowo wierzyć? Jeszcze podpis ci potrzebny?

*

Przed wspaniałym mauzoleum rodziny Rotszyldów na cmentarzu frankfurckim stoi ubogi żydek i wzdycha:

— Ci ludzie sobie żyją!

*

Rozenstein przebiega przez ulicę i dostaje się pod auto. Nic mu się zresztą nie stało.

Leży przerażony na bruku i słyszy głos umykającego szofera:

— Uwaga!

— Co to znaczy uwaga? Czy pan jeszcze wraca?

*

W czasie najdotkliwszego braku gotówki zanotował ktoś w Łodzi rozmowę następującą:

— Pożycz mi sto złotych, dam ci na zastaw fabrykę, tysiąc dwieście warsztatów.

— Niema głupich! Potem stu złotych nie oddasz, a ja zostanę z fabryką!

*

Z tego samego okresu:

— Jak interesy?

— Przed obiadem nic, a po obiedzie troszkę gorzej.

*

Z krzykiem wpada mały Morycek do pokoju ojca.

— Czego się tak drzesz?

— Połknąłem szpilkę!

— I o to robisz taki gwałt? Masz tu inną!

*

Znany poeta A. S. prosi wielkiego przemysłowca L. O. o pożyczanie mu 100 złotych.

— Bardzo mi przykro, drogi panie, ale mam przy sobie tylko 50.

— Niech będzie 50, zgadza się poeta, bierze pieniądze, wychodzi, ale po minucie wraca:

— Przepraszam pana, ale jak się teraz przedstawiają nasze rachunki: czy ja panu jestem winien 50 złotych czy pan mnie?

*

— Mamo! drze się mały Franio z podwórza, ma-
a-amo!

Matka wygląda przez okno.

— Mamo! Rzuć mi mandarynkę!

— Ależ, Franiu, skąd ja ci w lipcu wezmę man-
darynkę?

— Ja wiem i wcale nie chcę. Tylko Maciek nie
wierzył, że ty seplenisz.

*

Zima. Ósma rano. W sądzie pokoju sprawa o za-
klócenie spokoju publicznego. Przed sędzią stoi 58
letnia „córa Koryntu“: gruba, rozlazła, pomarszczona,
z przepitym ochrypniętym głosem.

Sędzia. Imię?

Oskarżona. Łaja.

Sędzia. Nazwisko?

Oskarżona. Mędrzycer.

Sędzia. Zawód?

Oskarżona. Dziewczynka.

*

— Doktorze, czy to bolesna operacja?

— Dla chorego — wcale. Usypiamy go. Bolesna
jest jedynie dla nas, chirurgów.

— Dlaczego?

— Drżymy wszyscy ze strachu. Operacja udaje
się raz jeden na sto wypadków.

*

— Kugelszwanc, pojęcia nie miałem, że twoja żona jest taka śmieszka! Opowiadałem jej kawał, — mówię ci, twoja żona zaczęła się tak śmiać, żeśmy o mało z łóżka nie spadli!

*

— Może mi pożyczysz 100 złotych?

— Nie mam przy sobie.

— A w domu?

— W domu? Dziękuję, wszyscy zdrowi.

*

Nagrobek, który postawił żonie swej pewien wdowiec niepokieszony:

„Łzy moje nie wskrzeszą cię. Dlatego płaczę“.

*

— Byłem wczoraj na obiedzie u Feinkopfa, powiadam ci: wschodni przepych! Nakrycia ze szczerego złota!

— Co ty mówisz? Pokaż!

*

James Rotschild, grając kiedyś w karty z Talleyrandem, opuścił niebacznie na podłogę luidora. Przerzywa więc grę, schyla się i zaczyna szukać monety; trwa to tak długo, że Talleyrand wyjmując z portfela banknot 500-frankowy, zwija go, zapala, i zwraca się do Rotschilda:

— Pozwoli pan, że mu poświęcę...

*

— Prosty sposób na zdobycie fortuny: zapomnieć o etyce, o moralności, o obowiązkach względem bliźniego, słowem być przez 5 lat świnią.

— A potem?

— Potem? Zostać już nią.

*

Pan Goldmacher do swoich dwóch synków:

— Chłopcy, jeżeli przez cały tydzień będziecie grzeczni, pilni i posłuszni, pójdziemy w niedzielę do Lourse'a... patrzeć jak jedzą lody.

*

Przed bramą wielkiej pięciopiętrowej kamienicy stoi starszy jegomość i pali cygaro. Zbliża się doń jakiś pan i zaczyna rozmowę:

— Pan, zdaje mi się, dużo pali.

— Dużo.

— A od dawna już?

— O, od wielu lat.

— Źle pan robi, panie. Tytoń szkodzi zdrowiu i pochłania mnóstwo pieniędzy. Gdyby pan przez ten cały czas nie palił, mógłby pan kupić sobie ten dom.

— A pan pali?

— Nie.

— A dom pan ma?

— Nie mam.

— To szkoda. Bo ten dom, widzi pan, należy do mnie.

*

— Wiem, co dziś jadłeś. Makaron!

— Dlaczego makaron?

— Został ci kawałek na brodzie.

— Nie zgadłeś. Makaron jadłem przedwczoraj.

*

Pan de Fontenelle był wielkim amatorem szparagów z oliwą. Przyjaciel jego, pan de Brieux wołał je z masłem. Kiedyś pan de Fontenelle zaprosił pana de Brieux na śniadanie i kazał kucharzowi przyrządzić połowę szparagów na oliwie, połowę zaś na maśle. Zanim siedli do stołu, panu de Brieux robi się niedobrze i nagle pada trupem. Pan de Fontenelle zrywa się, biegnie do kuchni i woła:

— Wszystkie na oliwie! Wszystkie na oliwie!

*

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, która godzina?

— Przepraszam pana, ale ja nie tutejszy...

*

— Słuchaj Abram, czy to prawda, że miałeś taką przykrość z Chałomojtkierem?

— I!... Przykrość! Ludzie zaraz ze wszystkiego robią przykrość. Dał mi po pysku.

— I co? Nie reagowałeś?

— Ładnie nie reagowałem! (pokazuje rękę). Tak mi gęba spuchła!

*

Pewnego sceptycznego izraelitę stara się przekonać przyjaciel o istnieniu cudów.

— Daj mi spokój! Nie wierzę w żadne cudy!

— No to bierzmy paregzampla. Ktoś stoi na samym wierzchu wieży Eiffel w Paryżu, nagle spada na ziemię i nie zabija się. Co to jest?

— To jest szczęście.

— A jeżeli na drugi dzień on znów włązi na wierzchołek wieży i znowu spada i znowu się nie zabija, to co to jest?

— To jest przypadek.

— A jeżeli on na trzeci dzień znowu tam wejdzie i znowu spadnie i znowu się nie zabije, to co to jest?

— To już jest przyzwyczajenie.

*

U znanego z roztargnienia lekarza chorób kobiecych M. zjawia się pewnego razu młoda kobieta i skarży się na brak potomstwa.

— A czy matka Sz. Pani miała dzieci? pyta lekarz.

— Jakto, doktorze?

— No, bo widzi pani, może to dziedziczne.

*

Doktor H., specjalista chorób gardlanych, przychodzi na herbatkę do przyjaciela swego, słynnego ginekologa R... Nagle telefon. Doktor R. musi koniecznie wyjść na pół godziny. Prosi więc przyjaciela, aby

go zastąpił, jeżeli podczas jego nieobecności zjawi się jaka pacjentka.

Pacjentka zjawia się. Laryngolog każe jej się rozebrać, kładzie ją na fotelu ginekologicznym i, z przyzwyczajenia, mówi:

— Niech pani powie a... a...

*

Szlachetny młodzian zwraca się do swej kochanki:

— Jadźka, nabierz swego starego na tysiąc złotych, muszę dług honorowy zapłacić.

*

Profesor N. jest bardzo roztargniony. Oto np. jego rozmowa z młodą panią:

— Była pani wczoraj w teatrze?

— Nie, panie profesorze, położyłam się wcześniej do łóżka...

— Tak... No i co? Dużo osób było?...

*

— Więc przyznaje się pan do spoliczkowania żony w tej grocie?

— Tak jest, panie sędzio.

— I co powie pan na swoje usprawiedliwienie?

— Ach, panie sędzio, w tej grocie tak ślicznie odbija się echo!

*

Stary rabin wyjechał kiedyś do sąsiedniego miasteczka. W domu została przystojna rabinowa i młody uczeń.

Korzystając z nieobecności rebego, uczeń zwraca się do rabinowej z nieprzyzwoitą propozycją. Ta jest oburzona.

— No, mówi uczeń, w takim razie trudno... Jeżeli rabinowa nie chce, to nie trzeba...

— O „nie chce“ mowy niema, ale skąd to chucpa?

*

— Kelner! Befszyk!

— Czy z cebulą, panie Kon?

— A z czym? Ze storczykami?

*

Przewodnik oprowadza turystów po Sopocie:

— Oto kościół dla katolików, oto kircha dla protestantów, a oto jest synagoga dla kuracjuszy...

*

W pokoju, przylegającym do sypialni ciężko chorego milionera, spadkobiercy prowadzą szeptem rozmowę:

— Więc co doktor powiedział?

— Jeżeli wujowi dziś nie spuchną nogi, to niema żadnej nadziei.

*

— Rebe! Mam kureę i koguta. Jednego z tych ptaków muszę zarznąć na szabes. Ale jeżeli zarznę kureę — kogut będzie się martwił, jeżeli zaś koguta — kura będzie się martwić. Co mam robić?

Rebe zamyślił się głęboko:

— Ciężka sprawa... Muszę poradzić się Talmudu. Przyjdź jutro po odpowiedź.

Petent przychodzi nazajutrz i otrzymuje odpowiedź:

— Zarznij kureę!

— Kureę? Rebe, przecież kogut będzie się martwił!

— Niech się martwi.

*

Lekarz (po zbadaniu pacjenta): Naogół znajduję znaczną poprawę. Ma pan wprawdzie jeszcze spuchnięte nogi, ale nic sobie z tego nie robię.

Pacjent: Panie doktorze, gdy pan będzie miał spuchnięte nogi, ja też sobie nic z tego nie będę robił.

*

— Byłeś u Jontefsona?

— Wczoraj. Czy wiesz, że ten człowiek zwarzował?

— Co ty mówisz?! Nieszczęście! Doprawdy zwarzował?

— Jeszcze jak! Od rana do wieczora gada bez sensu i co kilka godzin ma ataki furji. Zupełny warjat.

— Coś tam robił u niego?

— Staralem się pogadać z nim... namówić go, żeby mi oddał te trzy tysiące...

— No i co? Oddał?

— Nie. Taki warjat on jeszcze nie jest.

*

Z tak zwanej „teki aforyzmów“:

— Życie to męka. Najlepiej się wcale nie urodzić. Ale takie szczęście ma jeden na tysiąc...

*

Pijany w sztok jegomość wchodzi do fryzjera, siada na fotelu, opiera głowę o miękką poduszkę i jest szczęśliwy. Znalazł przystań. Zaraz usnie.

— Pa... panie, golić!

— Ależ szanowny pan jest głaciutko wygolony. .

Pijak opuszcza głowę:

— No to strzyż pan.

I zaczyna chrapać.

*

Bal subjektów, fryzjerów i innych przemiłych szarmantów ze sfery drobno mieszczańskiej.

Uroczy pan Maniuś „stawia“ w bufecie lemoniadę rozpromienionej pannie Lodzi. Nagle panna Lodzia tłucze szklanekę i zażenowana swą niezręcznością rumieni się ze wstydu.

— Ach!

— E, głupstwo panno Leokadjo, zapłacimy tę szklaneczkę do połowy!...

*

— To straszne, doprawdy! Człowiek tak *postawiony* znalazł się nagle w tem *położeniu*, że musi *siedzieć!*

*

— Mam zmartwienie z moim Kaziem.

— Co się stało?

— Ani pić nie umie, ani w karty grać nie potrafi.

— Czego się więc martwisz? Powinieneś się cieszyć!

— Tak... Ale on pije i gra.

*

— Dziwna rzecz: w karty stale wygrywasz, a na wyścigach nie idzie ci zupełnie!

— Widzisz... koni nie mogę tasować...

*

Mamusia przechadza się z synkiem po lesie:

— Widzisz, Tadziu, te kuleczki? To czarne jagody.

— A dlaczego takie czerwone i białe?

— Bo są jeszcze zielone; jak będą granatowe, dopiero wtedy staną się czarne.

*

Po powrocie z wojny napisał Moryc Lilienduft pamiętniki. Najciekawszą stronicą tej książki jest stanowczo tytuł:

— „Pięć lat wśród gojów; ich życie oraz obyczaje“.

*

Stary Krumfuss jedzie z synem pociągiem. Dla oszczędności kupiono tylko jeden bilet. Stary siedzi na ławce, synek zaś zawinięty w worek leży pod ławką. Kontrola biletów. Krumfuss jest w porządku. Konduktor zainteresował się jednak paczką.

— A co pan ma w tym worku?

— W tym worku? Używane butelki.

Konduktorowi wydało się to podejrzane, bierze więc laskę i uderza lekko w worek.

Jednocześnie z pod ławki słychać:

— Dzyń! Dzyń!

*

Joel Hirszman załatwił wszystkie interesy w Łodzi i postanawia wrócić do domu, do Częstochowy.

Idzie na pocztę i pisze na blankiecie tekst depešy do ukochanej żony:

— Manufakturę dobrze sprzedałem wracam rękawki wieczorem do domu twój Joel.

Podchodzi do okienka, podaje blankiet urzędnikowi, ten oblicza ilość słów i komunikuje ile się należy. Cena ta wydaje się Hirszmanowi horendalna.

— Przepraszam pana, czy nie będzie nic taniej?

— Tu niema żadnych rabatów, panie. Może pan tylko skrócić depešę.

Skrócić to skrócić. Hirszman odbiera blankiet i zabiera się do redukowania ilości słów.

— „Manufakturę dobrze sprzedałem” — słowo „manufaktura” niepotrzebne. Czy ona nie wie z czym

ja handluję? „Dobrze sprzedałem” — a co? Pójdę tracić? Warjat jestem? Już trzy słowa zaoszczędzone. Dalej: „Wracam piątek wieczorem do domu”. Czy ona nie wie, że ja zawsze na sobotę wracam? „Do domu” — a dokąd? Do teatru? „Twój” — a czyj? „Joel” — czy ona nie wie, jak ja się nazywam? Słowni, ona wogóle wszystko wie, więc poco mam depeszować?

*

Pani Nowobogacka pokazuje znajomemu malarzowi nowonabyty obraz.

— Bardzo ładne płótno, szanowna pani. Ale powinno mieć pendant.

Nazajutrz pani Nowobogacka udaje się do handlarza obrazów. — Proszę mi dać pendant.

— Do czego?

— A co to pana obchodzi?!

*

Ginekolog opowiada w towarzystwie o ciekawym wypadku t. zw. „zapatrzenia się”: kobieta, która podczas ostatnich dni ciąży czytała „Trzech muszkieterów” Dumasa, wydała na świat trojaczki.

Słyszając to, zrywa się nagle jakiś mąż i woła:

— Na litość Boga! Muszę pędzić do domu! Moja żona czyta akurat „Ali Babę i czterdziestu rozbójników”!

*

Pani Chucperkind leży na śmiertelnem łożu:

— Izak, ja umieram... Tak mi niedobrze.. Może mi dasz kieliszek wina?

— Teraz się nie pije!... teraz się umiera!

*

— Powiedziałaś podobno o mnie, że jestem złodziej. Czy to prawda?

— To prawda, ale ja tego nie powiedziałem.

*

— Włóż, synku, nowe ubranie i umyj się porządnie, zwłaszcza szyję. Zabiorę cię dziś do opery.

— Mamo, czy kupiłaś już bilety?

— Dostaniemy przy kasie.

— To zbyt wielkie ryzyko. Teatr może być wyprzedany, nie dostaniemy się, a ja potem będę, jak idjota, latał z czystą szyją po mieście!

*

Jakiś wysoki chudy blondyn podchodzi na ulicy do p. Kona.

— Dzień dobry, panie Kon!

— Przepraszam, nie poznaję...

— Jakto? Jestem Rabinowicz!...

Kon przypatruje mu się przez kilka chwil, oglądając go od stóp do głów, wreszcie mówi:

— Rabinowicz? Rabinowicz? Czy pan nie jest czasem taki mały, czarny?

*

Do biura Br. Jabłkowskich w Warszawie wchodzi jakiś jegomość.

Przychodzę w sprawie ogłoszenia. Panowie szukają młodego, eleganckiego, wykształconego subiekta?

— Tak jest. Ale wątpię, czy pan będzie nam odpowiadał. Ile pan ma lat?

— 58.

— Zna pan obce języki?

— Nie. Tylko polski.

— Pracował pan już w podobnych instytucjach?

— Nie, nigdy.

— W takim razie poco się pan zjawia? Ogłosiliśmy w pismach, że poszukujemy młodego, rutynowanego, eleganckiego sprzedawcę, pan zaś przychodzi bez żadnych kwalifikacji i zawraca nam głowę. Poco pan przyszedł, pytam?

— Chciałem tylko panów zawiadomić, że to nie dla mnie posada.

*

Gość hotelowy zwraca się do zarządu z pretensją:

— Przez całą noc leżałem na martwej pchle.

— Jeżeli pchła była nieżywa, więc nie dokuczała panu...

— Cóż z tego, że nieboszczka nie dokuczała, kiedy setki żywych przyszły na pogrzeb!

*

Właściciel restauracji do gościa:

— No i jakże? smakuje panu jedzenie?

— Przyznam się panu, panie gospodarzu, że jadłem już lepiej.

— Ale nie u mnie, panie!

*

Rzecz dzieje się przed wojną — w Odesie.

— Abramowicz, byłeś już na wystawie?

— Nie byłem.

— To żałuj! Same cuda! Pawilony, kioski, menażerja, fontany biją...

— Kogo?! Żydów?!

*

Jeden ze znanych antysemitów poznańskich miał papugę, którą nauczył skrzeczeć: „Żyd parszywy! Żyd parszywy!” Po wytresowaniu ptaka właściciel ofiarował go miejskiemu ogrodowi zoologicznemu.

Pewnego dnia papudze przygląda się przybyły z Łodzi kupiec Cukierglück.

W tej samej chwili papuga zaczyna wrzeszczeć:

— Żyd parszywy! Żyd parszywy!

Cukierglück z pogardą spogląda na ptaka i mówi:

— Wstydzilibyś się ty idjotka! Z takim nosem!

*

Dokoła szerokiego, jak bania, słupa reklamowego w centrum miasta toczy się, obmacując go rękami, urznięty „na zielono“ jegomość.

Ten proceder kotłowania trwa już kilka minut.

Wreszcie pijak mówi z rezygnacją:

— Niema co! Kaput! Zamknęli mnie!

*

Do baru wpada jakiś pan z objawami silnego zderwienia.

— Proszę jeszcze jeden koniak, tylko prędko, zanim ten skandal wybuchnie.

Przerażony kelner nalewa mu koniak.

— Proszę jeszcze drugi, tylko prędko, zanim ten skandal wybuchnie.

Gość otrzymuje drugi kieliszek. Potem trzeci, czwarty i mnóstwo następnych. Przed każdą porcją zaleca kelnerowi pośpiech: „Śpiesz się pan! Prędzej! Zanim wybuchnie skandal“.

Zaciekawiony kelner pyta wreszcie gościa, o jakim skandalu ciągle mówi.

Wtedy pan wstaje i oświadcza:

— Skandal będzie teraz dopiero. Nie mam pieniędzy na zapłacenie tych koniaków!

*

Jak furjat wpada mąż do małżeńskiej sypialni. Wie napewno, że ukrywa się tam kochanek jego żony. Zagląda pod łóżko i woła: „Tutaj go niema!“ — po-

tem za kotarę: „Tutaj go niema!” — następnie za jakiś parawan: „I tu go niema!” — wreszcie otwiera szafę, w której widzi swego rywala z rewolwerem w ręce, krzyczy więc: „Tu go także niema!” i wybiega z pokoju.

*

Mąż znajduje kochanka żony w szafie. Przyłapany amant stoi drżący, blady, z błędnym wzrokiem, w samej bieliźnie.

— Co pan tu robi? ryczy groźnie mąż.

— Panie, jeżeli powiem panu, że czekam tu na tramwaj, to i tak pan nie uwierzy, więc...

*

Po pijaństwie. Obydwaj przyjaciele siedzą przy stoliku restauracyjnym. Widok stolika znany jest bywalcom knajp: brudna serweta zalana czarną kawą, popiół w kieliszkach, chaos talerzy, szklanek, okruszyn i trunków.

Rozmowa:

— Te... Antoś... która godzina?

Antoś wyciąga z kieszeni pudełko zapalek i przygląda mu się, poczem odpowiada:

— Za trzy wódki środa...

— No to... ja wysiadam.

*

Mały Mocio Garnfunkel dostał od rodziców choinkę.

Zachwycony widokiem drzewka, zapytuje ojca:
— Tatusiu, czy goje też mają choinkę?

*

Długoletni lekarz naczelny szpitala warjatów w Edynburgu oprowadza po zakładzie jednego ze swych kolegów londyńskich.

— Pokażę koledze zupełnie niezwykły okaz. Człowiek bardzo inteligentny, wykształcony, sympatyczny. Rozmawia się z nim, jak z zupełnie normalnym osobnikiem. Ale gdy go zapytać, kim jest, odpowie: „Apostoł Paweł“.

Wchodzą do celi, dyrektor przedstawia chorego, zaczyna się bardzo miła rozmowa, chory nie zdradza ani żadnych objawów nienormalnych ani szoków nerwowych.

Odchodząc, gość zapytuje:

— Przepraszam, z kim miałem przyjemność?

— Jestem apostoł Paweł, odpowiada pacjent.

Po wyjściu z celi dyrektor zwraca się do przyjezdnego kolegi:

— No, i co wy na to?

— Tak, to bardzo dziwne... odpowiada lekarz londyński.

— Tem dziwniejsze, kochany kolego, że przecież apostoł Paweł — to ja!

*

Rabin i ksiądz jadą w tym samym przedziale wagonu. Po drodze zawierają znajomość, wywiązuje się ożywiona rozmowa, a przed pójściem spać obiecują sobie nawzajem, że nazajutrz zwierzą się ze snów, które mieli.

Następnego dnia ksiądz opowiada:

— Śniło mi się, że byłem w raju żydowskim. Mówię koledze: brud, smród, tłok, zaduch — coś potwornego.

— A mnie się śniło, że byłem w chrześcijańskim raju. Mówię koledze: czyściutko, ślicznie, wszędzie kwiatki, drzewa, uroczy zapach, ale puchy!

*

Rzecz dzieje się w sądzie

Sędzia: Imię?

Oskarżony: Abram.

Sędzia: Nazwisko?

Oskarżony. Blumentopf.

Sędzia: Zajęcie?

Oskarżony: Urzędnik państwowy.

Sędzia: Wyznanie?

Oskarżony: A co miałem robić?

*

Ordynator zakładu obłąkanych oprowadza przyjezdnego gościa po ogrodzie szpitalnym i informuje go o chorych. — Oto opowiada, jeden z najspokojniejszych moich pensjonarzy. Kochał się w pięknej dziew-

czynie, która go nie chciała. Wpadł w nieuleczalną melancholję.

W tej samej chwili z głębi ogrodu wypada z wrzaskiem dziki furjat. Służbie udaje się opanować rozjuszonego szaleńca.

— A ten, mówi doktor, to właśnie mężczyzna który ożenił się z tą piękną dziewczyną.

*

Pewien znakomity lekarz brał za pierwszą wizytę 50 złotych, a za następne tylko po 20.

Do gabinetu owego lekarza wchodzi kiedyś jakiś jegomość i chcąc zaoszczędzić sobie kosztów zaraz na wstępie woła:

— Znowu jestem panie doktorze!

— Bardzo się cieszę, niech się pan rozbierze.

Lekarz zbadał go najskrupulatniej i rzekł:

— Niech pan w dalszym ciągu bierze lekarstwo, które panu ostatnio zapisałem.

*

W uroczyste święta izraelickie frekwencja pobożnych wzrasta do tego stopnia, że w celu otrzymania miejsca należy wcześniej zaopatrzyć się w płatny bilet wejścia.

Podczas nabożeństwa noworocznego przed drzwiami świątyni stoi portjer i sprawdza bilety.

Nagle wpada zdyszany jegomość. Pomiedzy nim a portjerem wywiązuje się rozmowa następująca:

— Pański bilet?

— Ja tylko na chwileczkę.

— Nie wolno. Trzeba mieć bilet.

— Zaraz wychodzę z powrotem, mam ważną sprawę do Zalcmana.

— Kup pan bilet, wtedy wpuszczę.

— Poco będę bilet kupować, mam tylko dwa słowa powiedzieć Zalcmanowi...

— Ja znam pańskie dwa słowa! Pan się idzie modlić!!

*

— Co panu dolega?

— Wszystko, panie doktorze. W sercu mam kłucia, żołądek nie w porządku, wątroba boli, nerki źle funkcjonują, cierpię na płuca, miewam migreny, nerwy rozstrojone, mam darcie w nogach, ataki kamieni żółciowych — i sam także się niedobrze czuję.

*

— W moim hotelu pchły? Wykluczone! Niemożliwe! Pluskwy by im żyć nie dały!

*

— Przyznam ci się, mój drogi, że nie mogę zrozumieć urządzenia telefonu. Dlaczego słychać na tak wielką przestrzeń?

— Wytłumaczę ci to na przykładzie. Wyobraź sobie, że jest długi, długi pies: ogon ma w Warszawie a głowę w Krakowie. Kiedy w Warszawie pociągniesz go za ogon, pies w Krakowie szczeka.

— Czem jest w takim razie radjo-telefon?

— To samo bez psa.

*

...Panie Hosenstein, co mam panu mówić? Kiedy przeczytałem mu ten list, to on zaczął płakać, rozumie pan? Płakać! Człowiek, który ma skład wartości dwudziestu tysięcy dolarów!...

*

— Ile świadek ma lat?

— Pięćdziesiąt do stu dwudziestu!

— To nie jest odpowiedź proszę o dokładną liczbę.

— Mówię przecież: pięćdziesiąt do stu dwudziestu.

Obecny na sprawie adwokat żyd zwraca się do sędziego:

— Czy pan sędzia pozwoli, że ja świadkowi zadam to samo pytanie.

Sędzia zgadza się.

Adwokat: Świadku Mandeltorf, ile lat, do stu dwudziestu, pan ma?

Świadek: Pięćdziesiąt.

*

Symcha Rosenkratz zakwaterował się u państwa Chałamojtker. Przyjechał niby to w gościnę na trzy dni, a siedzi już piąty tydzień. Jak się go pozbyć? Państwo Chałamojtker postanawiają wreszcie uciec się do pewnego rodzaju prowokacji.

— Słuchaj, Sura, mówi Chałamojtker, pokłócimy się przy obiedzie. Jeżeli on tobie przyzna rację -- ja go wyrzucę, jeżeli mnie — ty go wyrzucisz.

Obiad. Małżeństwo wynajduje powód i zaczyna się kłócić. Rosenkranz milczy, zajadając z apetytem. Sprzeczka staje się coraz gwałtowniejsza. Rosenkranz nie odzywa się. Wreszcie Chałamojtker zwraca się do gościa z wyrzutem:

— Słuchaj, Rosenkrantz, co to ma znaczyć? Dlaczego się wcale nie odzywasz i nie przyznasz racji komuś z nas?

Na to gość:

— E, przez te trzy miesiące, które u was jeszcze zostanę, nie chcę nikogo zrażać do siebie.

*

Mały Saluś dostał od ojca szablę i kaszkiet żołnierski. Całymi dniami bawi się w wojnę. Rodzice przyglądają się temu z zachwytem.

— Wiesz co, Leon, odzywa się mama do taty, mam wrażenie, że nasz Saluś będzie w przyszłości oficerem.

— Jak chce, niech będzie. Napoleon też zostawił dobre pieniądze.

*

— Pojęcia pan niema, panie Cukiergold, co to za mądry pies! Jak ja mu naprzykład powiem: „Buruś, pójdiesz tu albo nie?” — to on idzie albo nie.

*

— Panie! jeżeli już przychodzę prosić, to doprawdy z musu. Lekarz zalecił mi morskie powietrze, a nie mam za co wyjechać. Możeby się pan zlitował i pomógł czymś?

— Ma pan tu sto złotych?

— To ma starczyć na Ostendę?

— Panie, jak panu nie wstyd? Przychodzi pan zebrać, a wybiera się pan do Ostendy, do najdroższej miejscowości?

— Dla mojego zdrowia nic mi nie jest za drogie!

*

Izak (szepem do Arona) Powiem ci prawdę: twoja żona wcale mi się nie podoba. Jak mogłeś wziąć taki monster? Garbata, zezuje, jąka się...

Aron: Możesz mówić głośno. Głucha też jest.

*

Dyżur nocny przy ciężko chorym pacjencie pełnił student aryjczyk. Rano zjawia się lekarz.

— Jak minęła noc?

— Chory spał dwie godziny, temperatura wahała się między 39° a 40°, był bardzo niespokojny, oddech przyspieszony, kompresów nie pozwolił robić.

Nazajutrz przy tym samym chorym dyżurował student semita. Lekarz znowu zjawia się po raport.

— Jak tam było?

— Panie doktorze, to ja miałem noc!

*

Aron Szmirkind spędził kilka lat w Warszawie, potem wraca do ojca swego Majera do Pińczowa.

Rano Majer przygląda się toalecie syna.

— Aron, co to jest za sztuka?

— Szczoteczka do zębów.

— Co się tym robi?

— Czyści się zęby.

Stary Majer marszczy brwi i mówi z oburzeniem:

— Wiesz co, Aron? Jabym na twojem miejscu wołał już odrazu się wychrzcić!

*

Stary Weizerman siedzi z wnukami przy stole. Zjawia się handlarz z workiem starego żelastwa i proponuje Weizermanowi kupno jakiejś sztaby metalowej.

— Co się z tym robi?

— Można zrobić obcęgi, igły, garnek, pistolet...

— Pistolet? Dzieci odsuńcie się....

*

Fragment z modlitwy.

— Boże pomóż mi! Litujesz się przecież nad zupełnie obcemi ludźmi, zlituj się i nade mną...

*

Pan Adolf Cymes dyktuje list:

„Kto mi obiecał oddać 15-go pieniądze? Pan! Kto nie dotrzymał słowa? Pan! Kto w takim razie jest łobuz?

Adolf Cymes“.

*

Ziegenblum siedzi już od trzech godzin przy stole w cukierni nic nie zamawiając i przygląda się partii szachów. Wreszcie zwraca się do kelnera:

— Panie ober, proszę mnie zatrzymać to krzesło, lecę tylko do domu na kawę i zaraz wracam.

*

— Sara, czy ty wiesz, że nasza Micia jest w ciąży? Ładna historia!

— Może od tego lokatora, co u nas mieszkał?

— Co ty gadasz? On przecież miał oddzielne łóżko.

— No, mógł przecież wyjść z łóżka...

— A jak już nawet wyszedł, to co? Przecież między jego łóżkiem a jej stał parawan!

— On mógł przecież odsunąć parawan...

— No, chyba to jedno....

*

Do dyrektora teatru przychodzi młody adept sztuki dramatycznej o rysach wyraźnie semickich. Chce się zaangażować. Dyrektor wysłuchuje go, znajduje zdolności, gotów jest dać mu debiut.

konkurs Ligree
1. dy
— Godność pana?

— Kon.

— Hm... to szkoda... Bo widzi pan, to niezupełnie odpowiednie nazwisko na afisz. Możeby pan obrał jakiś pseudonim?

— Panie dyrektorze, Kon — to jest już pseudonim.

*

Czytając Stary Testament, należy uważać, aby stronice nie zlepiły się przypadkiem, gdyż wtedy, przewracając kartki można odrazu od końca stronicy 3-ej (Adam i Ewa) trafić na początek stronicy 6-ej (Noe buduje arkę) i zdanie wypadnie w sposób następujący:

...I Adam poznał żonę swą Ewę... i zalepił ją smolą zzewnątrz i wewnątrz i t. d.

*

Spaliło się małe miasteczko. Na rzecz pogorzelników płyną ze wszystkich stron hojne ofiary. Podziałem tych sum dysponuje burmistrz miasta. Po zapomogę zjawia się Efroim Zeligman.

— Jakto? Pan? — pyta burmistrz. — Przecież panu się nic nie spaliło.

— To prawda, ale ja się także strasznie przeleklełem.

*

Rewja wojsk w carskiej Rosji. Wielki książę przechodzi przed frontem piechoty, rozmawiając łaskawie z niektórymi żołnierzami:

— Jak się nazywasz?

— Piotr Iwanow, wasza imperatorska wysokość!

— Dawno służysz?

— Drugi rok, wasza imperatorska wysokość!

— A zabiłbyś mnie kiedy?

— Nigdy, wasza imperatorska wysokość!

Ta sama rozmowa z Nikitą Matwiejewym, Iwanem Rysaczenką, Fedorem Bieluginem i t. d.

Przy końcu szeregu stoi dobosz.

— Jak się nazywasz?

— Abram Kapcanower.

Dawno służysz?

— Wystarczy.

— Zabiłbyś mnie kiedy?

— Z czym? Z bębniem?

*

U lekarza wewnętrznego zjawia się rosły, krzepki tęgi czerwony na pysku pasażer, typ rzeźnika.

— Czuję się, panie doktorze, niby nieźle, tylko z apetytem trochę nie bardzo. Nie powiem, owszem, jem ale bez przyjemności.

— A co pan je?

— No, rano wstanę, to tam zawsze parę szklanek kawy, jajecznicę z czterech jaj, kilka bułek z masłem, ale bez żadnej satysfakcji i tak już do drugiego

śniadania. Na drugie śniadanie, jak to pan doktor wie: parę wódek, talerz bigosu, flaków trochę, no... zimnej cieleciny porcję, piwa trochę wypiję, zawsze tam jakiej kiełbasy font, dwa... ale bez przyjemności. I o tem już do obiadu chodzę. Obiad... Co tam obiad? Pan doktor wie... Zakąska, jakaś tam grochówka z parówkami, no... parę kotletów z kartoflami, pieczeń z kluskami na drugie, jarzyna, legumina — i cały obiad, ale też bez zadowolenia. Przed podwieczorkiem to najwyżej talerz kwaśnego mleka z kartoflami, na podwieczorek kakao, omlet, parę ciastek, i przed kolacją tylko raz jeszcze, ot tak sobie, kilka kanapek w barze, gulasz na gorąco, ale żebym z radością jadł — nie powiem. Potem kolacja: kiełbasa z kapustą, jakieś pierogi albo naleśniki, kawa, placek — i to wszystko — i nawet bez przyjemności. Dopiero wieczorem, jak już w łóżku leżę, to jem owoce: jak jest sezon na jabłka to parę fontów zjem, albo jak czereśnie — to także. Tu nie powiem. Owszem. Owoce — tak. To jem, to lubię, to mogę“.

*

Gość w restauracji zrywa się w pewnej chwili od stolika i woła:

— Kelner! Rachunek! Tylko jaknajprędzej! Ile się należy?

— Służę panu! Osiem złotych!

Gość rzuca na stół banknot dwudziestozłotowy:

— Reszty nie trzeba!

Chwyta palto, pędem wybiega na ulicę i biegnie kłusem przed siebie.

Wreszcie zatrzymuje się, ogląda palto na wszystkie strony, splota wściekły i mówi:

— Psiakrew! Moje!

*

— Zdaje mi się, że już szanowną panią gdzieś widziałem...

— Możliwe, bo ja tam czasem bywam...

*

Guwernantka pragnie wytłumaczyć chłopcu różnicę pomiędzy słowami: konkretny i abstrakcyjny.

— Uważaj, Jasiu. Konkretnie jest to, co można zobaczyć; abstrakcyjne — to czego widzieć nie można. Rozumiesz?

— Tak jest, proszę pani.

— Daj mi więc przykład.

— Moje spodnie są konkretne, a pani spodnie są abstrakcyjne.

*

— Na litość Boga! Co Marjanna robi? Jak można kąpać dziecko w takiej wodzie? 35 stopni temperatury!

— E, proszę pani, co się tam takie małe dziecko zna na temperaturze!

*

- Proszę za 50 groszy pigulek od kaszlu.
— W pudełku czy w torebce?
— Nie dziękuję. Nie trzeba wogóle pakować. Pokulam je do domu.

*

Pan Kupfergold rozmawia ze swatem:

— Więc mówię panu, panie Parasolnik, że daję córce 10 tysięcy posagu.

— Pan zapomina, panie Kupfergold, że córka miała tę historję z oficerem...

— Dobrze, piętnaście.

— Pańska opinja w mieście, panie Kupfergold, też nie jest najlepsza...

— Zrobione, dwadzieścia...

— Rodzina pańskiej żony także nie należy do uczciwych...

— Już! Dwadzieścia pięć! Ale, panie Parasolnik, dlaczego pan ciągle mówi o mojej rodzinie? Pomówmy teraz trochę o panu młodym!

Parasolnik: Csss! Zgoda na 10 tysięcy. Sza.

*

Żebrak i włóczęga przechodzi podczas wędrówki przez park bogatej damy, w którym stoi wspaniały pałac. Aby wzbudzić litość, żebrak rzuca się na ziemię i zaczyna gryźć trawę.

— Człowieku, co czynisz? pyta dama.

— Ach pani! Trzy dni nic nie jadłem, muszę żywić się trawą.

Wzruszyło się litościwe serce szlachetnej pani...
— Biedaku! Jak mi cię żal! Chodź, pokażę ci
miejsce, gdzie trawa jest gęstsza i na metr wysoka!

*

— Zabezpieczyłem się dziś w towarzystwie ase-
kuracyjnym od ognia i gradu.

— Od ognia — rozumiem. Ale jak zrobisz grad?

*

Przysłowie na temat pewnego typu palaczy pa-
pierosów:

„Cudze palicie, swego nie dacie, sami nie wiecie,
co oszczędzacie“.

*

Stały bywalec restauracji „Pod Niedźwiedziem“
zaczął się skarżyć od pewnego czasu, że porcje są co-
raz mniejsze. Nadomiar złego znalazł kiedyś w kotle-
cie — włos. Zwraca się więc do gospodarza:

— To skandal, panie! Włos w kotlecie!

Ale gospodarz nie dał się zbić z tropu:

— Dlaczego się pan oburza? Skarżył się pan na
małe porcje. Staram się więc stopniowo zwiększać
je. Dzisiejszy kotlet pański jest już o włos większy.

*

Nie tyle dowcip, ile smakowity kąsek dla znawców
zabawnych sytuacji.

Wychowawca dzieci hr. R. jest młody, skromny, ubogi student. Hr. traktuje go bardzo uprzejmie. Kiedy hrabia ma gości, młody pedagog bywa również w salonie, bierze udział w rozmowie, słowem traktowany jest zupełnie po ludzku.

Pewnego wieczoru kilku panów gra w gabinecie w karty. Same „figury”: generał P., admirał L., poseł francuski, baron G., księżę C. Student wchodzi do pokoju staje przy stoliku i przygląda się grze. Po chwili nachyla się nad sędziwym, o marsowem obliczu generałem P. i coś szeptem.

Generał podnosi głowę:

— Słucham?

— Nie, mówi student, powiadam tylko że... — i coś dalej niewyraźnie bełkoce.

— Przepraszam, nie słyszę, mówi generał, może pan będzie łaskaw głośniej!..

— Ależ nie, panie jenerale, tak tylko mówię, że... i mruczy coś, zażenowany.

Generał odkłada karty, wstaje bierze studenta na bok:

— Niech się pan nie wstydzi, proszę, może jaka prośba?

Partnerzy generała niecierpliwie czekają, nieprzychylnie spoglądając na studenta, który im grę przerywa.

— No słucham pana?...

Na to zmieszany, blady korepetytor:

— Kiedy doprawdy nic, panie jenerale, mówię tylko, że panowie, jak widzę, grają sobie w karty...

*

Rozmowa była bardzo burzliwa i dramatyczna. Potem długie milczenie. On, z ponurą miną, pali papierosa za papierosem. Ona, zapłakana, spogląda w dal. Wreszcie wstaje, chce odejść.

— Chciałam ci jeszcze coś powiedzieć, coś bardzo ważnego, ale zapomniałam... Idąc tu, pamiętałam... Teraz nie mogę sobie przypomnieć... Co to było? Zaraz... Ach, tak! — Złamałeś mi życie!

*

Niusia skończyła szkołę dramatyczną i nareszcie dostała debiut w teatrze. Gra małą rolę młodej mężatki. Epizod. Ma ostro zwrócić się do męża ze słowami: „Czego znowu chcesz?” Ale Niusia chce pokazać na scenie, jaką jest świetną aktorką. I mówi do męża omdlewająco słodkim głosem, z przymkniętymi oczyma:

— Czego?... Znowu chcesz?...

*

— Jako prezent ślubny ofiarowałam młodej parze serwis do herbaty na 12 osób. A ty co im dasz?

— Sitko na 24 osoby.

*

— Chciałbym mieć pieniądze Rockfellera i twoją twarz.

— Tak ci się podobam?

— Nie. Ale przy jego majątku zgodzę się nawet na taką mordę.

*

Ogłoszenie:

— Do wynajęcia duży, widny pokój dla studenta medycyny. Elektryczność, telefon, wygody, trupy na miejscu. Wiadomość u woźnego prosektorjum.

*

Stary Fieingenduft zostawił testament mocą którego syn jego Moryc ma prawo odziedziczyć majątek o ile się nie wychrzci. Po śmierci Fieingendufta Moryc wziął majątek a kiedy już miał pieniądze w kieszeni przeszedł na katolicyzm. Ojciec jego dowiedział się o tem w niebie i idzie na skargę do Boga.

— Ja miałem podobną historję, odpowiada Pan Bóg.

— No i co zrobiłeś, Panie Boże?

— Zrobiłem „Nowy testament”.

*

Natan i Moryc przechadzają się nad rzeką i spostrzegają napis, obwieszczający, że za wyratowanie tonącego wyznacza gmina 15 złotych.

W jednej chwili w głowach przyjaciół błyska myśl

o zrobieniu interesu: jeden z nich rzuci się do wody, drugi go uratuje i otrzyma nagrodę, którą podzielią się. Zrobione. Natan rzuca się do rzeki i zaczyna krzyczeć: „Ratunku“! Na to Moryc, który stoi na brzegu:

— Czeka! Muszę się namyślić! Nie zauważyłem, że tu jest drugi napis: „30 złotych za topielca“.

*

Ktoś, przeglądając kodeks karny, westchnął:
— Jak tu żyć? Kilka tysięcy paragrafów przeciwko jednemu człowiekowi!

*

— Mówię panu, panie Kon, niech pan wierzy staremu doświadczonemu swatowi i niech pan weźmie tę pannę: piękna jest jak Venus, bogata, jak Krezus, niewinna — jak Dreyfus!

*

— Z Micią Kicelbein chcesz się żenić? Z tą lafi-ryndą? Pół Opatowa miało z nią romanse!

— A jeżeli nawet? — Jaki wielki jest cały Opatów?

*

Słówko o pesymizmie i optymizmie czyli rozmowa dyrektorów dwóch przedsiębiorstw teatralnych:

— U mnie zupełnie źle! Sala codziennie do połowy pusta...

— U mnie zato świetnie! Sala codziennie do połowy pełna.

*

Swat zaprowadził kandydata do małżeństwa na obiad do przyszłych teściów.

Siedzą przy stole. Swat szeptem do młodzieńca:

— Niech pan zauważy, jaki tu dostatek panuje! Srebrne nakrycia, kryształy, porcelana... Poznać solidność gospodarzy...

Młodzieniec sceptycznie:

— E, srebro, kryształy, porcelana — wszystko to pewno pożyczone...

— Ależ panie, mówi swat, ktoby tym ludziom co pożyczył?

*

Izajasz Katzensprung pości z powodu Śadnego Dnia. Przechodząc ulicą, spostrzega na wystawie sklepu gastronomicznego apetyczne półgąski, pasztety, sałatki i t. d. Widok tych specjałów drażni podniebienie wygłodniałego Katzensprunga. Wchodzi do sklepu:

— Przepraszam, co kosztuje taka sałatka z drobiu?

W tej samej chwili błyska się i słyhać uderzenie gromu.

Pan Izajasz spogląda na niebo i mówi:

— Przesada! Zapytać się nie wolno?!

*

Rzecz dzieje się w bufecie kolejowym. Starozakonny, wierny tradycjom swej wiary pan Malinower ma straszny apetyt na porcję różowej świeżutkiej szynki. Zwraca się więc do bufetowego, wskazując na trefny przysmak:

— Proszę mi porcję tego łososia.

— To szynka, proszę pana.

— A kto się pana pyta?!

*

— Słuchaj, powinieneś założyć rolety w swojej sypialni! Wczoraj znowu widziałem cię ze swego okna w najczulszem tête-à-tête z twą żoną!...

— O której?

— O piątej popołudniu...

— E, zawracanie głowy! Wczoraj o piątej wcale mnie w domu nie było!

*

Przytomność umysłu jest w życiu człowieka cechą niezmiernie ważną, z punktu zaś widzenia praktycznego niekiedy bardzo korzystną. Świadczy o tem poniższa historyjka.

Dwa zaprzyjaźnione małżeństwa, pp. Pipmanowie i pp. Jontefspriungowie, wybrali się samochodem za miasto. Nagle — trach! — coś pęka, samochód przewraca się i cała czwórka leży na ziemi.

Po kilku tygodniach pyta się Jontefspring Pipmana:

— Jaka sumę zapłaciło ci towarzystwo asekuracyjne za te lekkie obrażenia podczas wypadku?

— Dziesięć tysięcy złotych.

— Co za niesprawiedliwość! oburza się Jontefspring. Ja dostałem tylko osiem tysięcy, choć wszyscy mieliśmy jednakowe guzy i siniaki.

— Nie zupełnie, odpowiada Pipman. Bo ja w ostatniej chwili, kiedyśmy już padali na ziemię, dodałem jeszcze nogą mocnego kopsa mojej Rózi w bok.

*

Wyjątek z odczytu profesora L. o „technice w starożytności“:

— W okolicach Aten znalazłem podczas poszukiwań archeologicznych ślady słupów i drutów telegraficznych, z czego widzimy, że starożytni Grecy posługiwali się telegrafem; lecz jeszcze donioślejsze są odkrycia moje w Małej Azji. Nie znalazłem w głębi ziemi ani drutów ani słupów, co jest dowodem, że mieszkańcy tej ziemi znali już telegraf bez drutu!

*

— Panie portjerze, w jakiej cenie są pokoje w hotelu?

— Pierwsze piętro 100 franków, drugie 80, trzecie 60, czwarte 50, piąte 40.

— Przepraszam, dowidzenia. Ten hotel jest dla mnie zbyt niski.

*

Nie wiesz, co znaczy luksus? Zaraz ci wytłumaczę na przykładzie. Wyobraź sobie, że ktoś ma długą brodę, która mu zakrywa cały gors. Jeżeli ten ktoś nosi mimo to krawat — to to będzie luksus.

*

Z kolekcji t. zw. „szczytów”. Szczyt oszczędności:
— Zapinanie kołnierzyka nie na spinkę, lecz na brodawkę, którą się ma na szyi pod brodą.

*

W wieczór zimowy przyjaciele zebrali się w małej knajpce na pogawędkę przy winie. Po kilku kieliszkach Józio Flint zaczął opowiadać o swych sukcesach myśliwskich.

— Wyobraźcie sobie, że pewnego razu przechodzę się w naszym lesie. Nagle z gęstwiny wybiega ogromny lew. Chwytam za broń, celuję — paf! — zabijam go. Ledwo uszedłem parę kroków — słoń! Celuję — paf! — i zabijam go. Idę dalej — jaguar! Celuję — paf! — i zabijam go. Wreszcie, gdy byłem już u skraju lasu, z zarośli wyskakuje tygrys! Celuję — paf!.

W tym momencie Józio Flint słyszy za sobą szept:
— Jeżeli, draniu, zabijesz także tygrysa, to ci mordę rozkwaszę.

Józio nie drgnął nawet i kończy zdanie:

— Celuję — paf! — i... pudłuję!...

*

5-letnia Mania rozmawia z 6-letnią Zosią:

Mania: Aha, a ja wiem, co się robi, żeby mieć dzieci!

Zosia: Ważna nowina! Ja już wiem, co się robi, żeby ich nie mieć!

*

— Moryc, dlaczego spóźniłeś się do szkoły?

— Panie profesorze! U mamy rodzą się dziś chłopaki. Dwa już są.

*

Rzecz dzieje się na pokładzie okrętu.

— Mister Brownburry, czy rzuciłby się pan dla mnie do wody?

— O, yes, miss Woshirchurch! Bez namysłu.

— Więc proszę. Tylko w ten sposób zyska pan moją rękę.

Mister Brownburry skacze do morza. W tej samej chwili z głębi wód wyłania się rekin i rzuca się na dzielnego anglika. Mister Brownburry nie traci zimnej krwi. Wyciąga z kieszeni scyzoryk i zabija nim rekina, poczem wraca na pokład.

— Miss Woshirchurch, oto jestem, proszę o rękę pani.

— Mister Brownburry, chciałam naprzód zapytać, czy mnie wzrok nie omylił? Czy pan rzeczywiście uderzył rekina scyzorykiem?

— Tak jest, miss Woshirchurch!

— W takim razie nie mogę zostać pańską żoną.
Gentleman, mister Brownburry, nie używa do ryby
noża!

*

Uroczo piękna pani spokojnie przygląda się w o-
grodzie zoologicznym małpom.

Po kilku chwilach zwraca się do niej dozorca:

— Pani będzie łaskawa odejść. To drażni zwie-
rzęta.

*

Bon mot słynnego komedjopisarza H. Becque'a:

— Szalałam za tym chłopcem, teraz znieść go nie
mogę! Jak ci mężczyźni się zmieniają!

*

Dama: Żona pańska daje mi lat 30, córka 28...
A ile mam według pana?

Pan. Sumę.

*

Zebranie towarzyskie.

Jedna z pań mówi do obecnego w salonie śpie-
waka:

— Dałabym 100 tysięcy, żeby móc pana usłyszeć!
Śpiewak jest w siódmym niebie...

— Bo widzi pan... takie nieszczęście: od kilku lat
jestem zupełnie głucha.

*

Moryc Zuckerhut ma ciemną przeszłość, skutkiem której doszedł ostatnio do wielkiej fortuny.

Kilka dni temu pyta go pewien znajomy:

— Panie Zuckerhut, jest pan teraz milionerem? Dlaczego pan nie wyjedzie z Warszawy na kilkutygodniowy odpoczynek?

— Co znaczy wyjechać na kilka tygodni? dziwi się p. Moryc. Żeby zaraz mówili: Zuckerhut znowu siedzi?!

*

— Słyszałeś? Straszna tragedia!

— Co się stało?

— Bankier F. zastał wczoraj wieczorem żonę swą z kochankiem in flagranti. Wyjął z kieszeni rewolwer, zabił żonę, kochanka i potem sobie w skroń strzelił.

— Mogłoby być jeszcze gorzej!...

— Jakto? Co ty mówisz? Trzy trupy!

— Gdyby o tej samej porze przyszedł do domu przedwczoraj — znalazłby tam mnie.

*

Do gabinetu doktora Cohna wchodzi pacjent.

— Dzieńdobry, panie doktorze. Pan mnie nie pozna? Leczyłem się już kiedyś u pana doktora na hemoroidy. Teraz mi znowu dokuczają, więc przychodzę.

Doktor Cohn przypatruje się pacjentowi, nie może go sobie przypomnieć a nie wypada mu zapytać się o nazwisko.

— Proszę niech się pan rozbierze.

Cierpiący na hemoroidy pacjent rozbiera się, dr. Cohn zaczyna badać go, zaglądając do organu, w którym umiejscowiły się cierpienia przybysza, i wtedy dopiero woła:

— Aha! Poznaję teraz! Pan Feinbuber!

*

Przy płaceniu rachunku w restauracji.

Kelner: Jaką szanowny pan miał zupę? grochową czy pomidorową, bo nie pamiętam?

Gość: Nie wiem co to było. Miało smak mydła.

Kelner: A, to grochówka. Pomidorowa smakowała by, jak stearyna!

*

Szapszelewicz był u lekarza, który zapisał mu lekarstwo. Po godzinie lekarz spotyka swego pacjenta przed apteką:

— Panie Szapszelewicz! Dlaczego pan wylewa lekarstwo do rynsztoka?

— Panie doktorze, odpowiada pacjent, byłem u pana, bo pan chce żyć, byłem u aptekarza, bo on także chce żyć, teraz wylewam lekarstwo, bo i ja pragnę żyć!

*

— Gdy przyjmuje nową służącą, zwierzał się pewien proboszcz wiejski, mówi ona z początku: kury

księdza proboszcza, po pewnym czasie: nasze kury,
a już po kilku tygodniach: moje kury.

*

Państwo N. zalegali już od kilku miesięcy w płaceniu pensji guwernantce. Na znak protestu przeciw takiemu postępowaniu osoba ta oświadczyła swym chlebodawcom, że jest chora i że kładzie się na dłuższy czas do łóżka.

Do rzekomo chorej przywołali państwo N. lekarza i kiedy został on sam na sam z guwernantką, pokrzywdzona panna opowiedziała mu, jak się sprawa przedstawia:

— Panie doktorze! Jestem zupełnie zdrowa. Położyłam się dlatego, że państwo N. nie płacą mi tego co mi się należy.

— W takim razie, odpowiada doktor, może się pani trochę posunie. Będziemy leżeć razem, bo i mnie są winni od roku za wizyty.

*

Młodszy buchalter Seidenwesch biega zdenerwowany po biurze.

— Adek, co ci jest? pyta prokurent.

— Słuchaj, Leoś! Oświadczam ci poważnie: jeżeli szef nie cofnie tego co mi powiedział — rzucam posadę! Mowy niema żebym został!

— A co ci szef powiedział?

— Że ma mnie dosyć! Żebym sobie poszedł na
zbity łeb!

*

...Jednego się tylko lękam: że, kiedy umrę, pocho-
wają mnie żywcem...

*

Geldmacher i Walutendreher podpisują u rejenta
akt spółki. Przewidujący Geldmacher prosi o włączenie
do kontraktu punktu następującego:

„W razie bankructwa firmy, zarobek podzielony
będzie między wspólnikami“.

*

Na balu. Wstydlivy młodzieniec nie wie, od czego
zacząć rozmowę ze swą tancerką. Wreszcie — zdecy-
dował się i mówi słodkim głosem:

— E... czy pani była już kiedy przy egzekucji ka-
ry śmierci?

*

— Niema, jak gimnastyka szwedzka: konserwuje
zdrowie i przedłuża życie.

— Przesada! Nasi przodkowie nie uprawiali jej
wcale, a mimo to dobrze się czuli.

— Co z tego, że się dobrze czuli? A jednak wszy-
scy poumierali!

*

Moryś Feinduft skończył prawo, kupił sobie mieszkanie i urządza je. Na biurku stoi już aparat telefoniczny. Moryś dumnie siedzi przy biurku i czeka na pierwszego klienta. Nareszcie służący zawiadamia pana mecenasa, że przyszedł jakiś pan.

— Niech poczeka.

Dla dodania sobie powagi Moryś każe klientowi czekać przez kwadrans. Wreszcie dzwoni na służącego:

— Niech Piotr wprowadzi tego pana.

Pan wchodzi i zastaje Morysia ze słuchawką telefoniczną w ręku. Dla zaimponowania klientowi pan mecenas udaje, że rozmawia z kimś:

— Tak jest, hrabio... Dziękuję! Na śniadanie przyjdę, ale sprawy przyjąć nie mogę, choćby mi 100 tysięcy ofiarowano. Jestem po uszy zawałony pracą. Żegnam!

Poczem zwraca się do klienta: „Czem mogę panu służyć?”

— Przychodzę włączyć telefon do sieci...

*

Podczas wojny kapitan oprowadza dziennikarzy po wysuniętych naprzód pozycjach frontu. Mówi cichym szeptem:

— Teraz na prawo... teraz na lewo...

— Czy nieprzyjaciel jest blisko? pyta cicho jeden z reporterów?

— Ale gdzie tam! O dwadzieścia kilometrów!

— Dlaczego więc pan kapitan mówi szeptem?

— Bo mam chrypkę...

*

Mąż do żony:

— A kiedy jedno z nas umrze, ja przeniosę się na wieś...

*

Spotkali się dwaj przyjaciele. Jeden stary kawaler. Drugi wdowiec, ojciec ośmiorga dzieci.

— Jak ci się powodzi? Co porabiają dzieci?

— Dziękuję. Najstarszy jest dyplomata, drugi także kretyn. Trzeci jest bankierem, czwarty także już siedział w więzieniu. Piąty jest redaktorem pisma, a szósty także nie skończył szkoły.

— Córeczki?

— Starsza zaręczona, a młodsza także w ciąży.

*

Rotszyld: Co? Chce pan dostać tysiąc dolarów zapomogi? Nie! To za wiele! Będzie pan dostawał ode mnie 10 dolarów miesięcznie — tak długo jak będę żył.

Biedny żydek: Co ja z tego będę miał, panie baronie? Przy pańskim szczęściu — umrze pan jutro!

*

Do bogatego bankiera Goldkinda zwraca się ubogi młodzieniec z listem polecającym.

Goldkind (bardzo uprzejmie): Dobrze, otrzyma pan u mnie posadę. Zacznie pan naturalnie od rzeczy drobnych, a potem będę panu powierzał stanowiska co raz

bardziej odpowiedzialne. Z początku będzie pan nale-
piał marki na listy.... po paru latach przeniosę pana do
archiwum... potem będzie pan pracował w buchalterji...
do kasy nie mogę pana dopuścić... jest pan jeszcze zbyt
młody... (*Goldkind ożywia się*) w mojej kasie może
siedzieć tylko człowiek doświadczony... (*ostro*) wogó-
le co znaczy, do kasy?! Czy ja pana znam? (*coraz*
gwałtowniej) Do kasy!! Coś podobnego! Bezczelność!
(*wściekły*) Ja panu pokażę kasę!! Won!!!

*

Pan do lokaja:

— Założę się, że to Franciszek wypalił mi papie-
rosy!

— Bardzo pana przepraszam, ale ja z zasady nie
zakładam się.

*

— Co dałeś za to ubranie?

— Trzysta złotych.

— Strasznie drogo!

— Ale na raty.

— Na raty? Za bezcen!

*

— Co to za nowa moda, Macieju: gwizdać przy
pracy?

— Kiedy ja nie pracuję, proszę pana, tylko gwiź-
dzą.

*

Doktor Z. wchodzi do małego baru. Kelner, który drzemał dotychczas w kącie, wstaje z krzesła niechętnie, ociężale, z widocznym trudem.

— Czy pan ma hemoroidy? pyta doktor.

— Zaraz dowiem się w kuchni. W karcie niema.

*

Gruntownie włany jegomość stoi na ulicy, obejmując latarnię. Policjant zwraca się doń z wyrzutem:

— Wstyd, panie, wstyd! Czy pan żonaty?

— Nie...

— No, całe szczęście pańskiej żony!...

*

Pewien żydek postanawia się wychrzcić. Rodzina przysłała rabina aby mu to wypersfadował.

— Pomyśl — mówi rabin — przecież twój nieboszczyk ojciec przewróci się w grobie na drugi bok jak się dowie o tem...

— To nic wielkiego — odpowiada żydek — bo miesiąc po mnie ma się przechrzcić mój młodszy brat. Nieboszczyk ojciec znów się przewróci na drugi bok i będzie leżał tak samo jak przed tem.

*

— Tulpenblatt! — rzekł Lewi, wchodząc do biura swego przyjaciela. — Słuchaj, Tulpenblatt! Daję ci na przechowanie 10 tysięcy złotych. Wyjeżdżam na wieś i nie chcę takiej sumy wozic ze sobą. Za miesiąc wrócę, to odbiorę.

— Z przyjemnością, kochany Lewi. Zaraz ci dam kwit... Zresztą, mój buchalter i mój prokurent są obecni przy naszej rozmowie, więc nie trzeba żadnych kwitów.

Minał miesiąc. Lewi wraca ze wsi. Prosto z kolei pędzi do Tulpenblatta.

— Dzień dobry, Tulpenblatt! Przychodzę po moje pieniądze.

— Po jakie pieniądze?

— Jaki po jakie? Dałem ci 10 tysięcy na przechowanie!

— Mnie? Zwarjowałeś? Nie dostałem od ciebie żadnych pieniędzy!

— To ty zwarjowałeś! ryczy Lewi. Twój buchalter i prokurent byli przy tem!

Tulpenblatt woła buchaltera i prokurenta.

— Proszę panów, czy panowie przypominają sobie, aby pan Lewi wręczył mi kiedykolwiek 10 tysięcy złotych?

— Nic podobnego! Nie widzieliśmy.

— Ja idę po policję! wyje wściekły Lewi.

— Css, nie unos się, uspakaja go Tulpenblatt. Masz tu swoje pieniądze. Chciałem się tylko przekonać, czy mogę liczyć na swój personel.

*

Kałmanowicz, Zyskind i Szajn grają w karty. Nagle Zyskind uderza Szajna w twarz i zaczyna krzyżeć:

— Oszust! Ganef! Wyciągnąłeś kartę z rękawa! Widziałem, ty łobuzie! Wszyscy cię już znają, jako

złodzieja i grandziarza! Własną żonę sprzedajesz! Teraz wzięłeś się do karcianych spekulacji!

I policzkuje go po raz drugi. Szajn chwyta lich-tarz, ciska go Zyskindowi w głowę i odpowiada:

— Ty to mówisz? Ty, który handlowałeś żywym towarem? Własnego brata okradłeś! Puszczalesz fałszywe weksle! Kradłeś pieniądze, zbierane na cele dobroczynne! Ty świniou! Ty parchu! Ty scierwo!

Do sporu wtrąca się Kałmanowicz i mówi spokojnie:

— Panowie, albo się rozmawia albo się gra?

*

Sędzia. Imię i nazwisko.

Oskarżony. Meir Aron Szepser.

Sędzia. Mieszka pan?

Oskarżony. Nalewki 39.

Sędzia. Czym się pan zajmuje?

Oskarżony. Handluję ze starzyzną.

Sędzia. Wyznanie?

Oskarżony. Pan sędzia pięknie! Anabaptysta!

*

Ber Silberglantz jest ateistą:

— Nie wierzę w nic! Ani w Boga, ni w diabła! Nie modlę się, nie uznaję świąt, nie chodzę do synagogi — nic! Ale w sądny dzień ja na wszelki wypadek poszczę, bo nic nie można wiedzieć: a nuż coś takiego doprawdy istnieje?

*

Kugelbein spotyka na ulicy swego przyjaciela Jacobsohna.

— Jacobsohn, gdzie się podziewałeś przez tyle czasu?

— Nic... głupstwo... Musiałem wyjechać na cztery miesiące...

— Widzisz, Jacobsohn, zaraz ci mówiłem, żebyś wziął innego adwokata!

*

— Czy tatuś w domu?

— Wyjechał.

— A kiedy wraca?

— Za rok i cztery miesiące.

*

Apfelbaum po konsultacji u lekarza wciska mu do ręki 10 złotych i śpieszy się do drzwi.

— Przepraszam pana, zwraca się doktor do Apfelbauma, należy mi się 30 złotych.

— Tak? To i ja przepraszam: mówili mi, że 20.

*

Pinkus i Fajwelowicz kupili na wsi krowę do spółki i prowadzą ją na sprzedaż do pobliskiego miasteczka. Przechodzą koło stawu, nad którym skaczą żaby.

Pinkus: Słuchaj, Fajwelowicz, jeżeli zjesz jedną żabę, to ustąpię ci mój udział i krowa będzie należeć tylko do ciebie.

Fajwelowicz przewycięża wstręt do śliskiego gadu i pożera go. Idą dalej. Znowu staw z żabami.

Fajwelowicz: Słuchaj, Pinkus, jeżeli teraz ty połkniesz żabę, to krowa znów będzie w połowie należeć do ciebie.

Pinkus zjada żabę. Krowa znów stała się własnością obydwuch przyjaciół.

Na jarmarku sprzedali krowę za 200 złotych. Każdy otrzymał sto.

Pinkus: Wszystko bardzo pięknie, ale powiedz mi, pociosmy jedli żaby?

*

W przedziale drugiej klasy siedzi Chaim Süssfinger i jakiś sarmata. Kiedy przychodzi pora obiadowa, sarmata wyjmuje z walizki chleb z szynką i częstuje izraelitę.

— Dziękuję, odpowiada Chaim. Jestem żydem, nie wolno mi jeść szynki.

— Dlaczego?

— Przepis religijny.

Sarmata popija przy jedzeniu koniak, którym także częstuje towarzysza podróży.

— Koniaku także nie wolno mi pić, jeżeli nie jest koszerny, odpowiada Süssfinger.

— No, a gdyby tak pana kto zmusił?

— Przed gwałtem musiałbym ustąpić, mówi p. Chaim. Jestem wprawdzie bardzo nabożny, ale na groźby nicbym nie poradził.

Wtedy sarmata wyciąga z kieszeni rewolwer i skierowuje lufę w stronę izraelity.

— Albo pij albo cię zastrzelę! woła. Süssfinger pije, aryjczyk zaś mówi ze skruchą:

— Niech mi pan wybaczy. Mam wyrzuty sumienia, że nie uszanowałem pańskich przekonań religijnych. Czy pan się na mnie gniewa?

— Naturalnie że się gniewam, odpowiada p. Cha-
im: dlaczego pan nie wyciągnął rewolweru odrazu przy
szynce?

*
Majzeles zajada w restauracji b-ci Hirszfeld t.
zw. kugel, specjal kuchni żydowskiej.

— Nie rozumiem, mówi oblizując się, nie rozu-
miem, jak żyd może się wychrzcić! Wspaniały jest
ten kugel! Niebывały jest ten kugel! I są ludzie, którzy
porzucają taką religję!...

— Majer, czy to prawda, że chcesz się wychrzcić?

— Ja ci powiem: robię to tylko dla Goldstück.
On przyjął parę tygodni temu chrzest i teraz szuka
katolickiego towarzystwa!...

*
Znana z ciągłych awantur ze służbą pani R. jest
w ciąży.

— Proszę pani, mówi pokojówka Wikcia, napew-
no chłopak będzie.

— Dlaczego?

— Bo jakaby to dziewczyna z panią wytrzymała przez dziewięć miesięcy?

*

Po wyczerpaniu wszelkich możliwych gier towarzyskich postanowiono zabawić się w oryginalny konkurs: kto z obecnych zrobi najśmieszniejszą minę, najwstrętniejszy grymas — ten otrzyma nagrodę.

Obecni wysilają się na wszelkie sposoby. Wreszcie inicjator zabawy oświadcza, że nagrodę otrzymuje pani M., która przez cały czas siedziała w kąciku.

— Ależ proszę pana, odpowiada pani M., ja wcale nie brałam udziału w tym turnieju!

•

W komisarijacie policji, zjawia się dystyngowany jegomość. Kilka dni temu okradziono mu mieszkanie. Złodzieja schwytano nazajutrz.

— Panie komisarzu, chciałbym rozmówić się z tym opryszkiem.

— W jakiej sprawie?

— Bo widzi pan komisarz, zakradł się on do naszej sypialni o drugiej w nocy, nie budząc mojej żony. Chciałbym poprosić go o kilka wskazówek...

•

— Rubiner! Słyszałem, że twoja córka wychodzi za tego Szapselewicza! Ostrzegam cię: on siedział pięć miesięcy w więzieniu!

— Co ty mówisz! Uj, to ja wpadłem! Uj, to to jest łotr! Mówił mi, że tylko trzy!

•

— Kupiłem zegar... Śliczny antyk... Tylko trzeba umieć się nim posługiwać: kiedy wskazuje godzinę drugą, bije pięć razy i wtedy jest akurat trzy na dziewiątą.

*

Podczas posiedzenia delegatów Ligi Narodów, zebrani dyplomaci ułożyli następującą listę, charakteryzującą poszczególne narody:

Jeden Niemiec — pedant.

Dwaj Niemcy — browar.

Trzej Niemcy — Männergesangverein.

Cztery Niemcy — wojna.

Jeden Rosjanin — genjusz.

Dwaj Rosjanie — „pryncypjalna” rozmowa.

Trzej Rosjanie — chaos.

Jeden Anglik — spleen.

Dwaj Anglicy — klub.

Trzej Anglicy — wielkie mocarstwo.

Jeden Żyd — chucpa.

Dwaj Żydzi — interes.

Trzej Żydzi — bank.

Cztery Żydzi — redakcja.

Pięciu Żydów — „sowieci raboczych i krestjanskich deputatów”.

*

Weinkiper: Och, żeby można było zrobić jaki dobry interes!

Blum: Można bardzo łatwo. Od paru dni wosk bardzo rośnie w cenie. Sprzedaj wagon — zarobisz moc pieniędzy.

Weinkiper: Co znaczy: sprzedaj wagon? Przecież ja wcale nie mam wosku!

Blum (z rezygnacją): No, jeżeli nie masz wosku!...

*

Do bankiera Goldfeina przychodzi znajomy z jakimś obcym człowiekiem:

— Panie Goldfein, ten pan to mój kuzyn... Bardzo biedny człowiek... Możeby pan mu pomógł?

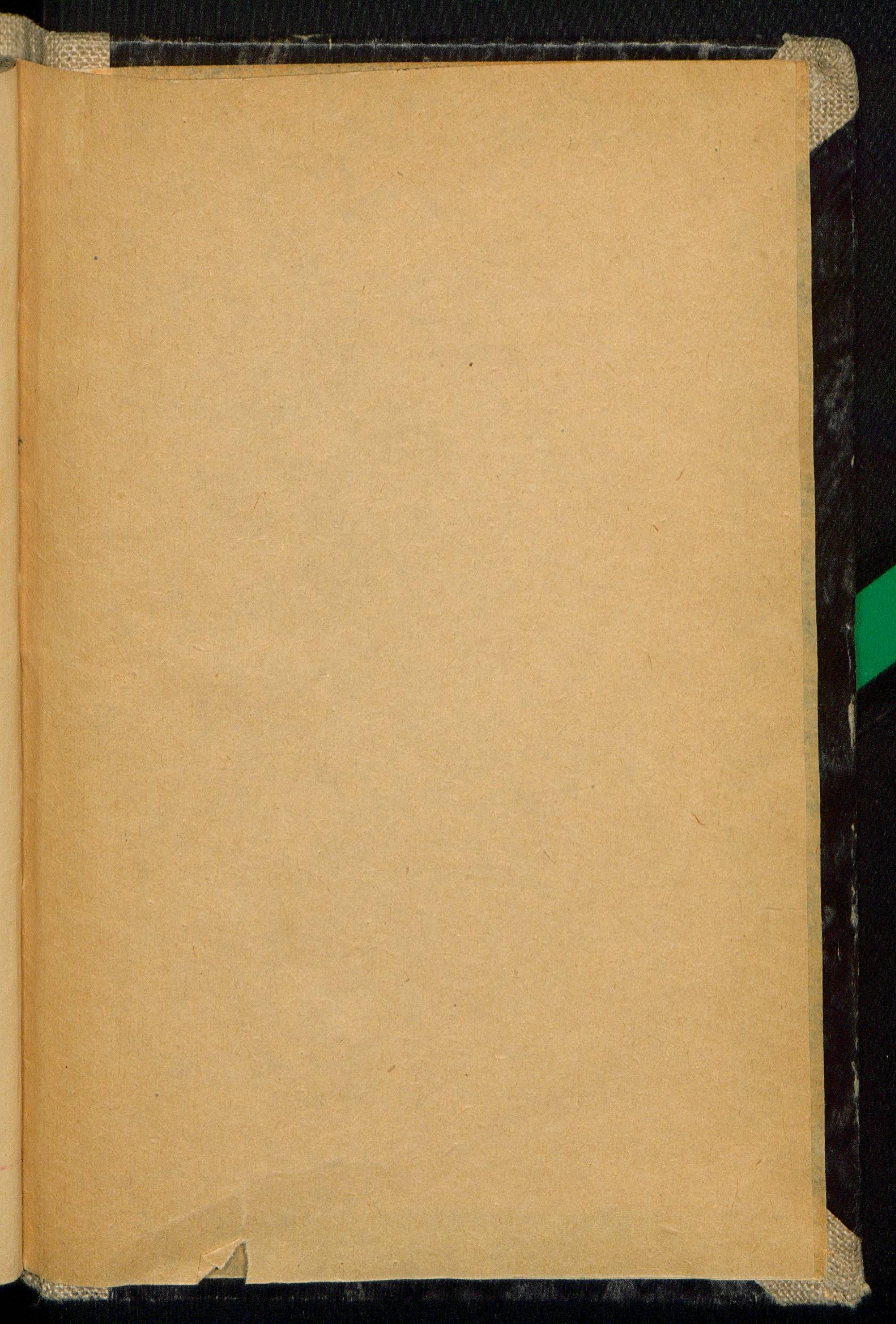
— Mogę dać 20 złotych. Wystarczy?

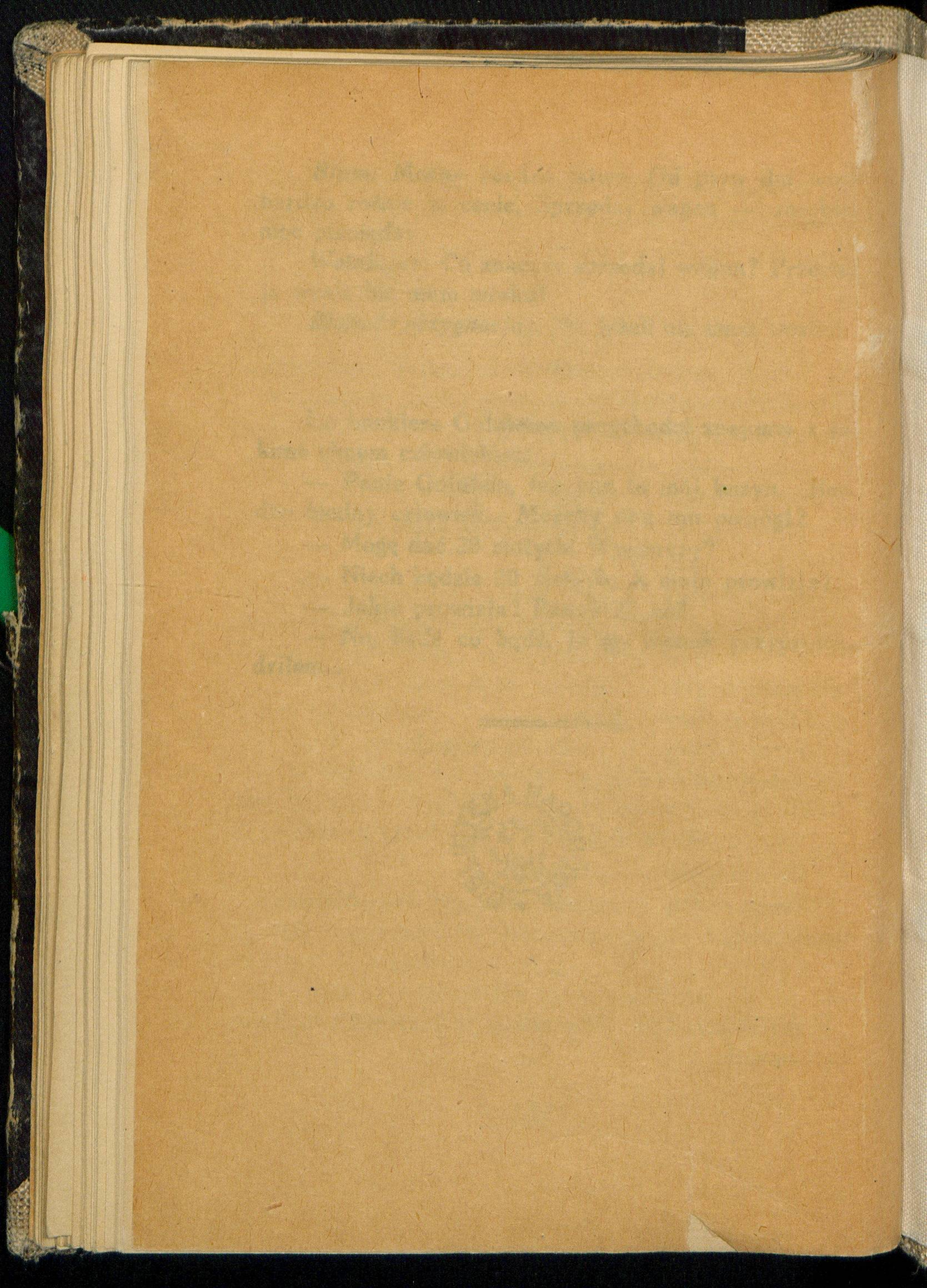
— Niech będzie 20 złotych. A moja prowizja?

— Jakto prowizja? Panu? Za co?

— No, bądź co bądź, ja go jednak przyprowadziłem...











142763



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001016540840